

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 15 LISTOPADA 1930 ROKU

NR. 46

TREŚĆ NUMERU: Kryzys macierzyństwa — *M. Benislawska*. Dnie studenckie — *Wanda Grabińska*. Poezja: „Do Warszawy” — *Zofja Rościszewska*. W stolicy (dok.) — *Jadwiga Kieronarska*. Człowiekowi naprzeciw — *Aura Wyleżyńska*. Kultura młodości — *W. Prażmowska*. Z teatrów — *S. P. O.* Kandydatki Komitetu Wyborczego Organizacji Kobiety. Kobieta w świecie i w domu. Rada i krytyka — *N. J.* Zastosowanie dekoracyjnych ceramiki ludowej — *R.* Hodowla zwierząt futerkowych, jako zawód kobiety — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Francuz o winach Francji — *Elżbieta Kieronarska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Hafty — *Well*. Dodatek powieściowy: „Ucieczka” (dok.) — *Pola Gojamyczyńska* i „Diagnoza” — *Edith Wharton*. Arkusz wzorów.

KRYZYS MACIERZYŃSTWA

Dużo się myśli, mówi, pisze o tem, jak połączyć ma rzesza — dziś bardzo liczna — kobiet pracujących swoją pracę poza domem z obowiązkami względem domu i dziecka przedewszystkiem.

Istotnie, przeżywamy w obecnej dobie kryzysów poważny kryzys macierzyństwa. Kryzys to jednak nie tylko materialno-ekonomiczny, lecz sięgający wgląd niewieściej psychiki.

Macierzyństwo kobiety nowoczesnej straciło swoje dawne psychiczne znaczenie, rzecby można — swoją duchową treść, a nie wytworzyło się na to miejsce nie określonego, wyraźnego, odpowiednio zharmonizowanego z nowożytną jaźnią duchową kobiety. Powstała tutaj chaosem wrząca luka, którą życie musi uporządkować i uzupełnić, a im prędzej, tem lepiej, bo stan obecny fatalnie wpływa na wzrastające dziś nowe pokolenie, które możnaby nazwać pokoleniem „sierot po żyjących rodzicach”. Znajduje się ono w najfatalniejszej sytuacji, gdyż nie ma ani ogniska domowego, ani zorganizowanej opieki społecznej, zapewniającej sierocie choćby minimum pieczy.

Dzisiejsza kobieta nie jest, ani we własnym wewnętrznym poczuciu, ani w oczach ogółu, „kapłanką” żadnych świętych ognisk, czy misterjów: jest współtwórczynią istnienia i dobrobytu rodziny, zgodnie z warunkami ekonomicznymi i innymi. Jest fachową w danej dziedzinie pracowniczką, porywającą się na pełnienie nadetatowej pracy, do której absolutnie z reguły nie jest przygotowana, na którą zwykle nie ma czasu, a często nie ma sił. Tą nawiasową pracą, peł-

nioną po dyletancku, pracą najwyższej odpowiedzialności i doniosłości społecznej — jest macierzyńskowychowawcza praca kobiety.

Poza genialnymi wyjątkami praca ta w tych warunkach, w jakich ją pełni kobieta, pracująca poza domem, musi dać wyniki poprostu katastrofalne.

Nie twierdzę, żeby przeszłość — czasy, kiedy dom rodzinny był wyłączną areną pracy kobiecej — przedstawiały się idyllicznie; tem bardziej nie usiłowałabym nawoływać do żadnego nawrotu do „dawnych, dobrych czasów”. Złe, czy dobre — już ani one do nas, ani my do nich nie wrócimy; życie nie zna dróg powrotnych. Praktyczniej więc będzie, pozostawiając umarłe — umarłym, zająć się tem, co się poczęło i co ma przyszłość dać.

Przedewszystkiem, przyjść musi nowe, poważne ustosunkowanie się matki do własnego macierzyństwa. Na miejscu mistycznej koncepcji o dziecku, o cudownym kapłaństwie matki, o najcenniejszym darze życia, danego dziecku przez rodziców — należy postawić głębokie i poważne poczucie podwójnej odpowiedzialności rodziców: wobec społeczeństwa i wobec samego dziecka, na które wydaje się wyrok stania się i życia.

Rodzice, stając się życiodawcami — iż tak rzekę, z premedytacją — powinni się czuć zobowiązanymi do kierowania tem życiem, wykrzesanem przez siebie, tak, by ono stało się i dla obdarowanego i dla społeczeństwa darem błogosławieństwa. Z drugiej zaś strony życie społeczne kobiety, byt rodziny w spo-

leczeństwie należy tak zorganizować, żeby obowiązki rodzicielskie nie były nad siły i nad możność większości ludzi.

Kwestja ochrony macierzyństwa — zapewnienie kobiecie pracującej możliwości pełnienia swych macierzyńskich obowiązków — jest na dobie; nie wiem tylko, czy jest na dobrej drodze, gdyż wszelka ochrona pracy kobiecej, wszelki przywilej, uzyskany dla kobiety-matki, musi, niestety, zwrócić się ostrzem ku kobiecie i jej macierzyństwu, dewaluując kobietę-matkę, jako pracowniczkę. Busołą, kierującą w życiu realnym, jest zawsze korzyść, nie względy ideowe, które ostatecznie ciężarem swym przywalają ideowców i powodują nie wytrzymanie przez nich konkurencji.

Jeżeli praca kobieca ma być na rynku towarem równowartościowym z pracą mężczyzny, to niema innej drogi: kobieta musi dorównać mężczyźnie w ilości i jakości pracy. Może najwyżej dobierać sobie odpowiedni rodzaj pracy — mniej odrywający od domu i dziecka.

Organizowanie wszelkich specjalnych dla kobiet dietnych stałych praw wyjątkowych, półdniówek etc. będzie się zwracało przeciwko nim, sprowadzając zniżkę w popycie na pracę kobiecą i w cenie tejże pracy.

Jedynym, bo koniecznym wyjątkiem pozostanie ochrona ciąży i karmienia, co da się utrzymać ze względu na to, że okres ten stanowi nie nazbyt duży procent od całego kilkudziesięcioletniego okresu pracy w życiu kobiety.

Poza tem wyjścia z kryzysu macierzyństwa szukać chyba należy na drodze nietyle uprzywilejowania matek, ile uspołecznienia ich i wykształcenia, podnosząc jednocześnie u nich i u społeczeństwa poczucie wysokiej godności matek, przekształcając dawne mistyczno-sentymentalne pojęcia na nowoczesne, oparte na głębszym uspołecznieniu, poczuciu odpowiedzialności rodzicielskiej wobec samego dziecka i ludzkości. Każda praca, dorywczo i po dyletancku prowadzona, obniża przez to swą wartość; dziś wartość takiej pracy, wobec hasła „odpowiedni człowiek na odpowiednim stanowisku“ i wobec zastrzonych warunków konkurencji, spaść musi niżej zera, tak w rezultatach realnych, jak i w walorach czci moralnej. Musi, krótko mówiąc, dawać wyniki ujemne, niekiedy katastrofalne, musi być lekceważona.

A taką dotąd jeszcze w większości dzisiejszych rodzin jest praca kobiety w domu, gospodarcza i macierzyńska. Kobieta współczesna już to rozumie, już, porzucając bezowocne biadania, szuka dróg wyjścia.

Przedewszystkiem poszukać należy źródeł zła. Bezwątpienia kryją się one w zaniedbaniu przez wychowawców kształcenia już w dzieciach i wyrostkach przyszłych matek i ojców. Wychowanie poprostu abstrahuje systematycznie tę sferę życia, twierdząc, że ona nie istnieje u dziecka, a u wyrostka... powinnyby nie istnieć, więc postępuje się tak, jakby

nie istniała, a że dorastająca młodzież, wychowawczo nieprzygotowana do przyszłego rodzicielstwa, już sama sobie przygodnie wyrobiła (niezawsze pod wpływem pożądanym) jakieś do tych spraw ustosunkowanie się, więc spóźniona ingerencja wychowawcy wtedy już nie będzie skuteczna.

Nie tu miejsce na głębokie i szczegółowe omówienie całokształtu rozwinięcia etyki życia płciowego u młodzieży obojej płci; zaznaczyć tylko trzeba, że zaniedbanie pracy wychowawczej na tym terenie nie mogło nie spowodować fatalnego zdziwienia i chaosu pojęć. Gdy się naprawi błąd, popełniany dotąd stale, gdy zdrowe pojęcia etyki wnikną w psychikę nowego pokolenia, trzeba jeszcze będzie wytepić dyletantyzm, zabójczy dla pracownika i jego pracy. Powiedzmy sobie, że, jeśli kierować autobusem, bądź parowozem ma prawo tylko wykwalifikowany szofer, czy maszynista, toć i prowadzić duszę dziecka, kształcić ją i rozwijać — wolno tylko odpowiednio do tego przygotowanym wychowawcom, gdyż inaczej — poza genialnymi wyjątkami — sprowadzamy samochcąc katastrofę.

Nie mam zresztą na myśli prawnego zobowiązania rodziców do ukończenia danej uczelni, czy kursów; myślę raczej o uświadomieniu ogółu inteligentnych rodziców, którzyby przecież i sami mogli zdobyć sobie choćby elementarną wiedzę wychowawczą, drogą czytania pism i dzieł odpowiednich, drogą obserwacji życia. Prawda, że w dziedzinie wychowania, które jest nietylko nauką, ale także i sztuką, wybitną rolę odgrywają przyrodzone zdolności, rzecby się chciało — talent, dar Boży, „dryg“. Tak, jak każdy może nauczyć się czytać nuty i grać na instrumencie muzycznym, ale nie każdy dojdzie w tem do artyzmu, a wielu napewno nie wyjdzie nigdy poza granice mierności, tak też każdy dojść może do mniejwięcej prawidłowego orjentowania się w sprawach wychowania, ale nie każdy osiągnie pomyślne rezultaty w pracy wychowawczej.

Dlatego idealnymi wychowawcami nie zawsze są rodzice, jako tacy. W większości wypadków i rodzice i dzieci zyskają na tem, jeżeli wychowanie, a nawet pielęgnowanie małych dzieci przejdzie do rąk fachowców, zamiłowanych w tej właśnie pracy; trzeba by tylko zorganizować taką pomoc wychowawczą dla matek, dostępną dla najszerzych sfer, gdyż opłacaną przez zrzeszenia kilku lub kilkunastu rodzin. Nie uwolni to matki od orjentowania się w pracy wychowawczej, ale odciąży ją od wykonywania jej osobiście.

Dopiero taka przebudowa stosunków rodzinnych, poczynająca się od psychicznego przygotowania w młodzieży przyszłych rodziców, a następnie zapewniająca dziecku rodzicielską czy obcą, ale zawsze fachową, umiejętną opiekę fizyczną i moralną od pierwszego roku życia — wyprowadzić nas może z dzisiejszego kryzysu, grożącego ruiną najważniejszej komórce społeczeństwa — rodzinie.

M. Benistawska.

WANDA GRABIŃSKA.

DNE STUDENCKIE

Więc najpierw marzyło się o czapce studenckiej... Symbolem wydawała się dni jutrzejszych, symbolem swobody i siły.

Podziwiała się ją na głowie starszego brata i ukradkiem przymierzało przed lustrem. Ale nie pasowała wtedy jeszcze jakoś, ani do czarnej kokardy w tyle głowy, ani do pensjonarskiego fartucha.

Więc z zalem wracało się do stosu książek — cienkich i grubych, ciekawych i nudnych, miłych i zniechęcających — książek maturalnych, które nagle wyrastały, jak wysoki mur, dzielący zniecierpliwionego człowieka z ósmej klasy od świata śmiałych marzeń. I waliło się w ten mur pięścią woli, sztyłem myśli, odłupywało się cegłę po cegle, aż wybiło się szerokie okno na świat.

Matura!

A więc już jest! I już nic jej nie wydrze! Jeszcze się niezupełnie wierzy swemu szczęściu. Jeszcze po nocach śnią się koszmary trudnych egzaminów, ale błękitny dzień przynosi jasną pewność.

Wtedy rzeczywistość nabiera innego smaku i koloru. W dal uciekają dawne zadumy i smutki, do dzieciennych z pogardą zaliczone...

Już nie zjada się wierszy, nie pożera powieści... Ręce się wyciąga do życia! A ono czai się groźne i niezbadane, dobre i złe, ponure i piękne. Mirażem wydaje się cudnym, to znów potworem, którego trzeba pokonać. I wyrusza się na jego podbój!

Kwestura uniwersytecka — to pierwszy teren tej walki.

Dla innych jesteś wówczas tylko mizernym kandydatem na fuksa, tłoczącym się do okienka, by złożyć „podanie”; dla siebie — rycerzem śmiałym, który wkracza na ziemię wroga. W dniu immatrykulacji zatykasz na niej chorągiew swego panowania.

Masz odtąd cudowne prawo wkraczania na wszystkie wykłady wszystkich profesorów. Wybierasz najmędrszych i najstarszych, wchodząc w gęstwinę nowych myśli i pojęć, jak Robinson Kruzoe w puszcze.

Upragniona czapka już wtedy mocno na głowie zatknięta, tylko białość jej niepokalana niepotrzebnie wszystkim obwieszcza, że fuks jesteś i smarkacz. Więc nie szanuje się jej tak specjalnie, mimochodem wierzchem ją kładąc na zakurzonych ławkach.

Tak oto rozpoczynają się dni studenckie.

Dnie doli i niedoli, radości i utraień; dnie, na wozie i pod wozem spędzane. Dnie wierzeń najżarliwszych, zwątpień najsilniejszych, dnie młodości górnej i chmurnej.

Dziewięć lat mija, gdy rozpoczęłam je w swem własnym życiu...

Styczeń 21 roku. Po rozejmie z Bolszewją. Okres pokojowej pracy znów podjęty. Warszawski uniwersytet otwiera swoje bramy.

Ze wzruszeniem wstępuję w progi starej uczelni. Ongiś szkoła kadetów. I dawna Szkoła Główna. Tu uczył się Kościuszko. Siedlisko nauki polskiej z czasów Wielopolskiego, brutalnie przez zaborców zrusyfikowane. A później jedno z ognisk martyrologii młodzieży naszej: czasy Wittego... Apuchtina... Wyrzucanie

ze szkół... Więzienia... Bezkresna tajga i śniegi Syberji, gdzie przepadały bez wieści setki młodych istnień, szlachetnych serc i wielkich idei...

Póniej rok 1905. Rozpaczna walka z caratem. Masowe aresztowania studentów. Wyroki śmierci. Brańma straceń w cytadeli.

Wreszcie samowolne odwrócenie się od Almae Matris w walce o polskość uczelni: strajk szkolny. Dobrowolna rozsypka po obcych uniwersytetach. A — warszawski sztucznie zapełnia zaborca rosjanami. Większość — seminarzyści — nawet bez średniego wykształcenia.

I dopiero wojna światowa wyzwala z pięć niewoli warszawskie uczelnie. Po półwieczu rusyfikacji — pierwszy polski senat uniwersytecki. Pierwszy polski rektor.

Młodzież polska zlatuje do starego gniazda. Ale nie zagrzewa w niem miejsca. Boć to przedświt odrodzonej Polski!

Zdobywanie jej krwią młodych i najmłodszych. Bliski dzień 11 listopada. Rozbrojenie Niemców. Ofiar-na straż studentów w całym mieście.

A na frontach nieustanne walki.

Wszyscy stają do ostatnich rozgrywek.

Więczy je obrona Warszawy.

Wszystko to migawkowo przesuwają się w myśli przy wejściu w stare mury. Mury szare i proste. Dawny pałac królewski, dwukrotnie przez Szwedów niszczone.

Na obszernym dziedzińcu wielki gmach biblioteki. Z obu stron dwupiętrowe pawilony. Siedziby seminarjów, lokal Bratniaka — administracja. W głębi gmach główny — siedzisko powszednich zajęć. Na parterze kwestura. Zawsze zatłoczona, zawsze rojna.

Z lewej strony w kącie bufet smakowity, gdzie brać studencka gorącą oblewa się herbatą i wcinając bułki suche, albo z szynką, zależnie od pojemności kieszeni.

Wąskie, głęboko wówczas wydeptane schodki kamienne wiodą w górę do sal wykładowych. W środku aula.

Z okien jej widać ogród uniwersytecki i w siwej mgłę ginący fragment miasta. Ze ścian patrzą portrety. Rektor Mianowski, Szwejkowski, Brudziński — wielcy miłośnicy wiedzy i młodzieży. Tuż obok dzisiaj wmurowana tablica ku czci poległych. Złocistymi zgłoskami błyszczą nazwiska kolegów-bohaterów.

Tu, w auli, przeżywa się najpiękniejsze chwile. Podniosły dzień przyjęcia w poczet słuchaczy uczelni. Uroczyste obchody, wręczenie dyplomów.

Szara praca tłoczy się w audytorjach. Tam przeżony fuks przeżywa szereg emocyj. Poznaje profesorów. Zbliża się do kolegów. Zawija przyjaźń z woznym — tym dobroliwym zausznikiem każdej z sal.

No i pierwszy wykład. Każdy go pamięta w innej formie.

Wpadłam na „Prawo rzymskie”. Nimbem grozy otoczony przedmiot i imię profesora. Prawo rzymskie, pół-napół nieszczęsną łaciną usiane i egzaminem koń-

czące się straszonym — krótko „rzezią niewiniątek“ zwanym. To też fuks siedzi blady i niepewny w ogromnej sali, jak ziarnkiem maku usianej głowami pierwszoroczniaków.

A z głębi, z katedry spływa poważny, uroczysty głos profesora.

„... Kobieta nie może być ani magistratus, ani sędzia, nie może bronić przed sądem, jako adwokat (postulare) (D. 3. 1. 1. 4.), ani nie może być zastępcą procesowym (cognitor, procurator). Ulpian (D. 50. 17. 2) mówi: „Feminae ab omnibus officiis civilibus vel publicis remotae sunt...“

— Czy to wszystko trzeba pamiętać? — słysząc przerażone szept.

— A jakże — odpowiada skwapliwie ten i ów, wskutek oczywistej złośliwości losu drugi rok na jednej ławie siedzący. A w duchu myśli: „niech mają pietra!“

Ale strach mija szybko. Rodzi się przywiązanie do tych wszystkich godzin. Do miejsc i ludzi. Wkrótce znasz uniwersytet, jak swoją pustą kieszeń; kochasz, jak własny dom... I, jak w domu, lubisz w nim przebywać. Jesienią słotną, dokuczliwą zimą skwapliwie na wykłady chodzisz. Lub, w silentium biblioteki pogrążony, z grubych ksiąg mądrość innych wypijasz.

A gdy wiosna wypłoszy cię z murów, rozpościerasz swoje panowanie w ciszy drzew kasztanowych uniwersyteckiego tarasu. Ławek braknie, więc się siada na murze, na schodach, gdziebądź, byle tylko skrypta móc utrzymać w ręku.

Przychodzisz tu z silną intencją wkuwania, bo egzamin za pasem. A za chwilę łapiasz się na przestępstwie. Bo zamiast wbijać do pustej głowy, że de Lambert poszedł za daleko w tłumaczeniu dwunastu tablic, teżę głowę zadarłeś do góry i pijesz wesołe wiosenne słońce, co raduje się na niebie do wszystkich. Powinieneś mieć wzrok wlepiony w rzędy czarnych liter, tysiączne kryjących mądrości, a nieposłuszne oczy po kasztana bujają listowiu, podziwiają kiście białych kwiatów i całują ich czerwone serduszka.

Dobrze ci tu. Spokojnie, cicho i swojo...

Ale samą wiedzą i naturą żyć nie można, więc zbierasz manatki, by na obiad prozaiczny pojechać.

Wsiadasz w tramwaj. Mijas łamaną linję Nowego Świata i korowód zielonych drzew Alei. A później parę kroków na piechotę. Na Mokotowskiej, tam w końcu, w szkole Wawelberga była w r. 1921 studencka stolówka.

W dużej sali szereg długich stołów i ław prostych, bez oparcia. Z boku bufet i sprzedaż bonów.

Do tego przybytku tłoczy się studenterja z talerzami w ręku. Za cenę dwóch biletów tramwajowych dwa obfite dostawałeś dania. Jednego dnia groch na gęsto i ryż na rzadko. Drugiego dnia ryż na rzadko i groch na gęsto. A na odmianę kluski z małym mięsem — nie, proszę się nie przerażać: były to tylko łykowate konserwy amerykańskie, na wygląd czerwona sztuka mięsa — w rzeczywistości, niewiadomo co...

A jakieś to wszystko wciął, pojękując trochę na wspomnienie maminych obiadków, to miałeś dosyć od południa do późnego wieczora.

Bo groch jest sytny, i ryż też, i małym mięso.

Więc po tem utuczeniu na odpoczynek wpadałeś „do domu“. Tak się to szumnie zwało. Mało kto jałdnak miał wówczas ów prawdziwy dom. Mieszkało się gdziebądź, przygodnie — kątem... trójkami... czwórkami... jaknajciasniej i jaknajtaniej!

A najczęściej w schroniskach Bratniaka.

Nie były to dzisiejsze domy wspaniałe — giganty! Dziesięcioma piętrami w górę się pnące na chwałę polskiego studenta! Domy-hotele, gdzie każdy ma swój pokój, i łóżko, i biurko, i szafę. I światło, i opał, i służbę.

Gdzie zasię!... o tem się nawet nie śniło!

Wówczas bratniak chwycił, co się dało. Chodziło o dach nad głową! Studenterja wyniszczona wojną. Nędzne ciała i puste kieszenie. Utracone posady. Trudność znalezienia pracy. Groszowe stypendja. Więc głód i chłód — gruźlica.

Wtedy rośnie wielkie przytulisko dla akademików w koszarach Blocha.

Wtedy wynajmuje się to tu, to tam jakąś salę, jakiś dawny lokal biurowy i urządza się ogniska studenckie.

Pokażę wam jedno z nich. Dla dziewcząt. Mieszkałam tam w r. 1921. Schronisko to, szumnie zwane „imienia królowej Jadwigi“, w przedziwnym gnieździło się miejscu.

Był to poprostu sklep, połowa cukierni Ziemiańskiej — na rogu ul. Jasnej i Zielonego placu. Zagarnięta pierwotnie na żołnierską kantynę, a w dalszym przeznaczeniu za postój dla czterdziestu młodych dziewcząt służąca.

Tak, postój. Inaczej trudno było to nazwać.

Od frontu szybiska wielkie, do połowy piękną zieloną farbą zamalowane. Jako że zamiast ciastek — brzydza jeno studencka za niemi się kryła, a tej gościom, do Ziemiańskiej dążącym „na czarną“, nikt nie miał ochoty pokazywać.

Do wnętrza wiodły drzwi wąskie, między wielkie witryny wciśnięte. Drzwi prawie stale otwarte, boć okien z tej strony nie było, a czemś należało oddychać w tym przybytku imienia królowej.

Wchodziło się na salę ogromną. Tak wprost z ulicy.

Tam dopiero miałeś przepychy, godne książęcego dworu.

Więc najpierw niewidzialna gdzieś brzęczała kapela: to jazzband dolatywał z przyległej cukierni. A na ścianach tańczyły kolorowe bajki.

Całe wnętrze w przedziwne malowane desenie. Pamiątki kawiarnianej przeszłości. Piękne damy w fantastycznych szatach... wesolki, pieroty, paziowie. I rumiane, pyzate kuchciki, roznoszące mazurki i ciasta.

Dwa ogromne kandelabry rześiste oświetlały tę fata-morganę i w dole koczującą studencką niefrasobliwą biedę.

Na kamiennej posadzce czterdzieści żelaznych łóżek, rzędem pod ścianami równo koło siebie stojących. Cztery szafy w czterech kątach sali i czterdzieści drewnianych krzesel, przedziwnym gospodarstwem upstrzonych.

Więc książki i garnuszki, kałamarz i świece, lusterko i grzebień, chleb i cukier, solniczka i szklanka, pudelka, torebeczki — wszystko razem pel-mel leżące na tem jednym jedynym krześle, co służyło za biurko, jadalnię, tualetę było i śpiżarnią.

Kuchnia zato była osobno, a jakże!

Tam niewiast dzielnych czterdzieści, godząc się jakoś-takoś, skwarzyło sobie jedzenie. Najczęstszym menu była kasza. Dobra, pocziwa kasza, która rośnie w garnku w dwójnasób, wydyma się, pęcznieje, ze ćwierć kilo masz na parę razy.

Do bułek zamiast masła brało się musztardę.

Ostra jest, nie psuje się i cienko ją można smarować.

Czasem zaś po wędlinę szło się do sklepiku, tam obok.

Siedziała tam niewiasta okrutnie gruba, z codziennie świeżo utrefioną głową, z brylantami na włosach i palcach. Ach! te palce, te palce w pierścionkach, tłuste, krótkie a zwinne, czuwały, by pasemka nie przeważyć szynki i rodziły w nas głuchą nienawiść. Musztarda z bułką i bułka z musztardą. Obiad w stołówce, a czasem długie dni życia „na zimnem”.

Aż tu nagle grubsza flota wpadała do ręki... Za korpę!

Więc uciecha w całej gromadzie. Zwracasz długą, sam udzielasz pożyczek. Płacisz składkę w Bratniaku, skrypta sobie kupujesz, i mydło, i pończochy i papier listowy. A za resztę idziesz na obiad. Prawdziwy obiad! I na kawę, i na tort, i na lody!

A nazajutrz rano... Kieszon znowu pusta. A ty — wymyślasz sobie, żeś burżuj i filister. I wyrzuty sumienia biją w ciebie taranem! Uległeś chwili słabości... Cóż warta jest twa wola? Duch jest mocny, ale ciało słabe — myślisz o sobie z goryczą. I w skrusze wielkiej pędzisz wieczorem na zebranie swego związku.

Stary rynek. Kamienica książąt Mazowieckich. W białej, prostej komnacie, ze starymi sztychami na ścianach, brać akademicka radzi nad zbawieniem ludzkości... Polski za mało i Europy za mało. Wszystkim niechaj będzie dobrze. Rozpłomienione twarze, ogniste przemowy. Ekstaza braterstwa i miłości. Nie ma przeszkód nie do przebycia, zamiarów, których się nie ziści. Jest siła, jest wiara! Jest *młodość!* Siłą pchnie się z posad bryłę świata, wiarą płomień z grudy wydobędzie.

Ale trzeba nas więcej! Więc się skrzykuje zjazd całego związku i po Polsce rozsyła się wici.

W skwarnym lipcu, gdy wszelka zamarła nauka, na starą ziemię śląską pod Cieszynem zjeżdżają ci z Warszawy, Poznania, dalekiego Wilna i męznego Lwowa. A Kraków nas wita i gości. Zjeżdża tłum kolorowych czapek — i kochane profesorów głowy... Wszyscy jedną przejęci ideą.

Śpi się wtedy na słomie i pod słomą, w gościnnej śląskiej szkole. Wdycha czyste Beskidów powietrze i radzi na zielonej murawie, jakby słowa w czyn wcielić, jakby to ludzi przekonać, że trochę dobrej woli, trochę myśli i serca — a jaśniej będzie na świecie i lepiej.

A gdy rosa wieczorna opadnie na ziemię, a wszyscy zjedzą mleko z czarnym chlebem — idzie się gwiazdy liczyć i myślami wędrować na księżyc. Na wóz Wielkiej Niedźwiedzicy wsiadasz i młecznymi drogami gdzieś pędzisz w nieznaną, cudowną przestrzeń. Słyszysz szelest skrzydeł Ducha Świata. I przysięgę mu składasz na wieczność: Służyć Dobru, i Prawdzie, i Pięknu...

Rano budzisz się innym człowiekiem: nikną małe strapienia i troski. Widzisz tylko tę wielką swą drogę, co przemierzyć ją musisz do celu.

Więc dzień za dniem wciąż kładziesz za bary, do gwiazd śmiejąc się ciągle i słońca.

— Może za szybko biegniesz, może zaadto się śpieszysz?...

Bo oto przychodzi dzień jeden szczególny i wielkiem uderza z dziwnością:

— D y p l o m.

Więc to już?... Białą papier obraca się w rękę niepewnie. Z głowy ściągasz brudną starą czapkę. Cieszyć się, czy się nie cieszyć? Toć do tego się przecież dążyło... Trzeba się radować!...

... A tak żal — tak dziwnie żal... tych dni studenckich...

ZOFJA ROŚCISZEWSKA

DO WARSZAWY

Londyn zasnuty mgłami miękkimi, jak aksamit.

Stambuł przekłuma obłoki minaretami...

Parma w herbie fiołki mieć powinna chyba.

Wenecja różanotuska wodą oddycha, jak ryba.

Miasta Norwegji na lodowo-platynowych strunach

Szepczą opowieści, jakby myjete z Hamsuna.

Paryż, marzeń wszelakich Medyna i Mekka,

Omota słodko, zdobędzie każdego człowieka.

Nowy-Jork ze szczytów drapaczy na świat z góry patrzy.

Kolorowy świat oszalamia, jak haszysz.

A ty, Warszawo, w szarej sukni, jak Salomea z Wiernej Rzeki,

Gdy cię opuszczę na dłużej — jesteś przedmiotem tęsknoty dalekiej...

O, Warszawo, której historia, tradycje i sprawy święte

Sprawiły, iż serce, niemi oplątane, mygląda, jak miasto, drutami pocięte.

Ty, której krew w mych żyłach tętni amarantowo —

Warszawo, z ośmiu liter złożone, gorące, mocne, własne słowo!



Pogodna jesień sprzyja późnym podorywkom.

JADWIGA KIEWNARSKA.

W S T O L I C Y

2)

Zbiegły się koło nich i zatrzepotały, ogłuszyły niemal szczebiotem, jasno i ciemno-włose panny.

— Ach, więc to twój brat? Ułan! Polski ułan! Dąbrowszczak! Prosto z frontu! No i co? No i jak? Nie dacie nas bolszewikom? Obronicie Warszawę? Prawda?...

Aż mu się mdło zrobiło od tych pytań i szczebiotów, od zapachu tyłu dziewczęcych ciał, od widoku rozognionych twarzątek tuż przy swojej, niegolonej twarzy.

A panny wciąż brzęczały natrętnymi pytaniami. A panny coraz natarczywiej domagały się odpowiedzi. Więc odchrząknął, przełknął ślinę i odparł sztucznym, żołnierskim basem:

— Nic się nie bać, moje panienki: damy tym suczym synom porządnie w d...

Zacichło, jakby kto makiem posiał. A potem dały się słyszeć tu i tam, cichutkie, całą siłą woli dławione, chichoty.

Na teren działań wystąpiła pani przełożona, z właściwym sobie majestatem.

— Muszę pana prosić o opuszczenie mego zakładu. Tu jest internat żeński i żaden mężczyzna nie może tu przebywać, bez specjalnego pozwolenia. Jako brat, powinien pan być zresztą zadowolony, że siostra pańska znajduje się pod dobrą opieką. Panienki, proszę do refektarza! Już dawno dzwonią na obiad.

— No, jak obiad, to obiad. I na mnie pora.

Raz jeszcze ucałował siostrę i nie miał najmniejszej chęci dłużej tu popasać. Ale jeszcze coś sobie przypomniał i zawrócił odedrzwi.

— Proszę pani przełożonej... tu trochę pieniędzy. Jakby siostrze czego było potrzeba, będzie pani łaskawa i kupi... i da. A jakby co jeszcze... to napisać na

front: Piotr i Witold Gierdwoynowie. Bo ona nas tylko jednych ma na świecie. O rodzicach nic nie wiadomo... w Rosji sowieckiej zostali. Więc my dwaj jej za ojca i matkę. Bracia.

Surowe oblicze pani przełożonej złagodniało ogromnie.

— Ależ dobrze... Ależ naturalnie... Może pan być zupełnie spokojny. Niepotrzebnie tak dużo... Niech cię Bóg prowadzi, moje biedne dziecko!...

Znowu „dziecko“! Też się wszystkie wybrały z tym niewczesnym matkowaniem!... Brzęknął ostrogami, gwizdnął na Trockiego i przesadził, jak przeskodę, okrągły klomb różowych astrów.

— Masz! Za „dziecko“.

Pani Maciejowa Gierdwoynowa, od dziesięciu już blisko dni „siedziała na kufrach“, według własnego wyrażenia i wahała się: jechać, czy nie jechać?

— Jeżeli bolszewicy przyjdą, to, rzecz prosta — trzeba jechać. Ale, jak nie przyjdą? A mieszkanie tymczasem ktoś prawem kaduka zabierze, albo zgoła zarekwiruje...

Tak hamletyzowała, nie mogąc się zdecydować i była, oczywiście, szalenie zdenerwowana. Na widok uzbrojonego bratanka, omal nie zemdląca. Ale nie zdążyła. Bo Witold, przyzwyczajony do niezawodnego efektu, jaki jego marsowa postać zwykła wywierać na cywilną ludność stolicy, meldował już od progu:

— Nie żaden ja bolszewik, proszę stryjenki, tylko Witold Gierdwoyn, rodzony brata stryjaszka, rodzony syn. I nie rabować przychodzę i straszyć. Bardzoby się chciało zjeść coś gorącego, wypłókać w prawdziwej łazience i przespać na miękkim i czystym.

Tak trochę dziecinnie, z pewnym zawstyżeniem,

wyrecytował to, co stanowiło treść marzeń frontowych, nieraz przez długie miesiące nieziszczalnych.

— Aaa... to szkoda. Bo myśmy już prawie po obiedzie. Co do łazienki, to nie wiem, jak będzie, bo tam pełno kufrów. Wy tam widocznie zupełnie sobie nie zdajecie sprawy z tego, że Warszawa może być wzięta. A my drżymy i nie wiemy: uciekać, czy nie uciekać? I tak ciągle na kufrach siedzimy.

Trzasnęłyby drzwiami i wyszedł bez słowa, ale z jadalni wytoczył się pan Maciej z serwetą w rękę i porwał bratanka w objęcia.

— Witek! z frontu... Chodźże chłopcze, czem chata bogata...

Za ojcem stał piętnastoletni Staszek, wpatrzony w kuzyna z nietajonym zachwytem. I ten milczący zachwyty, bardziej, niż stryjowskie słowa, pociągnął Witolda do jadalni.

Rzeczywiście, obiad się widocznie kończył. Pani Gierdwoynowa pomagała służącej sprzątać ze stołu.

— Herbaty się z nami napijesz? Tak mi przykro, że nie mam cię czem poczęstować, ale my ciągle na wyjeździe... Aa... został jeden kotlecik z mózgu... Może pozwolisz?

— Mózg?... Nnie, tego to ja nie jadam.

— Myślałem, że cię choć wojna wyleczy od grymasów przy stole — zgorszył się pan Maciej.

— Kiedy do mózgu to ja właśnie na froncie obrzydzenia nabrałem.

— Taak? — Oczywiście Staszka wypukłe i błyszczące, zda się już, już wylażą na stół z bezmiernego zaciekawienia.

— A tak. Za wiele się tego widzi. Ot, niedawno wiozłem ciało kolegi z rozrąbaną głową; czubarykom zostawić nie chciałem. Przerzuciłem przez łąkę, głowa wisi, a mózg z krwią kap, kap... po moich butach, i po końskich nogach... na trawę.

Stryjenka zakryła usta chusteczką i wybiegła z pokoju. Pan domu obruszył się.

— No wiesz?!... Takie rzeczy... przy stole...

Ułan roześmiał się.

— Ot, wy słuchać nie możecie, a chcieliście, żebym jadł.

Milczenie. Trochę przykre. Pani wróciła i przygląda się przybyszowi z nieukrywaną już antypatją. Pan Maciej odchrząknął.

— No i cóż ty właściwie zamierzasz dalej z sobą robić?

— Ja? A cóż? Wracam tam, skąd przyjechałem.

— Dobrze. A potem? Kiedyś się przecie wojna skończy. A ty nic nie umiesz, nic nie skończyłeś.

— Paziowski korpus w Pitrze „uskoriennym wypuskom“.

Pogardliwe skrzywienie ust.

— Rosyjska szkoła kadetów, w wojennym czasie. To nic nie jest. Ręczę, że po polsku nawet podpisać się nie potrafisz.

O, teraz gość się zrobił naprawdę do bolszewika podobny. Smutne i płochliwe oczy schwytanego zająca pełne są zielonych iskier, jak ślepie złego wilczura. Górna warga podkureczyła się w górę i odsłania zęby, zwłaszcza wystający trochę kiel, z lewej strony.

— Umiem, czy nie umiem, a już od dwóch lat się podpisuję krwią, na bolszewickich skórach. A tacy,

jak ty, prawowierni polacy, co to nigdy nosem z Polski, to i teraz nosami w pierzynach...

— Zdziczałeś! kompletnie zdziczałeś na tym froncie! Mikołaj dawno mówił, że trzeba cię stamtąd zabrać gwałtem i oddać do jezuitów, inaczej nie z ciebie nie będzie — woła patetycznie stryjenka.

Purpurowy pan Maciej oniemiał z oburzenia.

We drzwiach, niby deus ex machina, ukazał się kapitan Mikołaj Chomentowski, imponujący w doskonałym mundurze sztabowego oficera.

— A, Witek! Cóż, zdezerterowałeś z wojska? **Zawsze** to przepowiadałem.

Soczysty bas ciotecznego brata, którego Witold nie znosił od dziecka za błagę i bufonadę, był, jak oliwa, dolana do ognia. Ułan zerwał się z krzesła.

— Dziękuję ci, stryjaszku, za chleb i sól; długo ci ich nie zapomnę! — powiedział ciężko, mocując się z kłamrą od pasa. — I tobie, starszy kuzynie, za dobre słowo, dziękuję. Śpieszno mi na front, do kolegów... Tam mój dom i prawdziwa rodzina. Żal mi tylko, że ich szlachetna krew przelewa się w obronie takiego bydlę!... Takiej hołoty!...

— Jak śmiesz?! Smarkaczu!!!...

Zastąpili mu obaj drogę.

— Puszczać!... — Wyciągnął szablę i błyskawicznie rozsunął nią krewniaków. Już był na schodach.

— Łajdak!... Bandyta!... Bolszewik!... — wrzeszczała histerycznie pani Gierdwoynowa.

Kiedy odwiązywał konia, dopadł go Staszek. Czerwony, zadyszany, ze łzami w oczach.

— Czego chcesz?

— Ja... chciałem kuzyna bardzo przeprosić... za wszystko, co w domu... Rodzicom trzeba wybaczyć, oni nie rozumieją... dawne pokolenie... sfilistrzałe. Ale mnie za nich bardzo, bardzo wstyd...

— I co jeszcze?

— I jeszcze chciałem kuzyna prosić, żeby mnie zabrał ze sobą... na front.

— Poco? Tam smoczaków nie fasują.

— Że jestem za młody? To nic. Zdarzają się przecie ochotnicy jeszcze młodszy. Sam kuzyn przecie powiedział, że wstyd chować nos pod pierzyną, kiedy ojczyzna w niebezpieczeństwie.

Witold objął chłopca i uściskał.

— Nie, bratku — powiedział zwolna, jakby namyślając się nad każdym słowem — ja ciebie nie zabiorę. Na takich, jak ty, jeszcze czas. Marsz do nauki, smarkaczu!

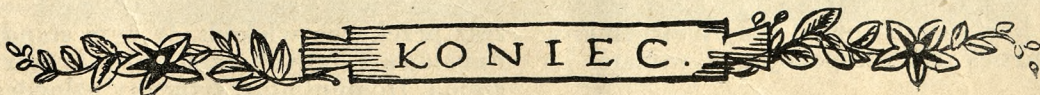
Staszek otarł łzy i poszedł posłusznie na górę. Ułan cmoknął na konia i pojechał, nie oglądając się po za siebie. Czuł jednak, że po rozmowie z chłopcem beżmierna gorycz, zalewająca mu serce i duszę, straciła cokolwiek ze swej ostrości.

— — — — —
A wieczorem kołysał go znów do snu miarowy ruch towarowego pociągu i urywany oddech śpiących koni i ludzi. Ale nie mógł zasnąć. Wtulony w ciepły, pluszowy brzuch Trockiego, wpatrywał się z niepokojem w olbrzymi znak zapytania, jaki przed nim rysowało, zbudzone niebacznie, widmo pokoju:

— Co dalej?

Szukał i nie umiał znaleźć odpowiedzi.

A pokój był już blisko. Znacznie bliżej, niżby się ktokolwiek spodziewał.





Mglisty jesienny poranek nad Notre-Dame.

AURA WYLEZYŃSKA

CZŁOWIEKOWI NAPRZECIWI

(Od specjalnej korespondentki).

Zwycięski znak zapytania wypisany jest na pudełkach od cukierków i wpleciony w tkaninę pulloverów. Dzisiejsze życie całe jest pod znakiem zapytania. Bynajmniej nie niepokojącego (o ile nie rozbije się jakiś „dirigeable“...)

Co przyniesie jutro, pełne nadziei? Przedewszystkiem — udoskonalenie środków komunikacji: lądowej, morskiej, powietrznej. Dlatego w tej jesiennej, żniwnej porze otwarto Salon automobilowy, żeglarski, a wkrótce i aeroplanowy. Ta mobilizacja sił XX-go wieku daje zarazem popis ostatnich wynalazków. Jeśli chodzi o auta, to zaznacza się tendencja połączenia pożyteczności z estetyczną formą i rzeczywiście ostatnie modele, wydłużone, smukłe, lśniące, prują powietrze parą benzyny i lotnym kształtem. Nic więc dziwnego, że artyści biorą je, jako motyw dekoracyjny, i stosują nawet do witraży.

Pomyśleć, a jednak Salon automobilowy jest piekłem, gdzie męki, Tantalowym równe, cierpią ci, którzy dotąd maszyny nie posiadają. Nie każdy bowiem jeszcze uważa, iż mu się od losu yacht należy; nie każdy pragnie mieć awionetkę, narazie zostawiając ją bankierom; ale Chrysler przeznaczony jest wszystkim, wierzącym, iż z jego pomocą karku sobie nie skreca...

Naszemu pokoleniu sążone jest przebywać szybko wielkie przestrzenie, nic więc dziwnego, iż coraz mniej ma ono ochoty chodzić do teatru, na koncerty i odczyty. Wszystko do nich przyjąć winno. Przedewszystkiem — operacje giełdowe. Nawet nie chcą się fatygować na wyścigi, i telewizja sprowadza wierny obraz wyścigów londyńskich przed oczy podróżników samolotowych, gdzieś nad niespokojnymi wodami La Manche'u.

Manifestacją X-ej Muzy, która poprzednie na swe weźmie usługi, jest Salon T. S. F. W tym roku rozgościł się on na Bulwarze Raspail, w części jego, sąsiadującej z Montparnasse, a więc dziś najbardziej postępowej w Paryżu, która jest po naiwnych młynach Montmartrowskich postępowym młynem, mielącym na mąkę i otręby ziarno myśli wszechludzkiej. Dzielnica ta — to mała kula ziemiska. „Semaine à Paris“ — pismo, poświęcone temu, co się w mieście świat dzieje — jawnie, bez wahania, obok herbu Lutecji, stawia ją na swym szyldzie.

Miejsce dobrze wybrane, bo T. S. F. jest najbardziej kosmopolityczną sztuką. Stacje odbiorcze ten sam styl mają w Teheranie, co w Pradze — rodzaj udoskalonej wieży Eiffla, mnie od niej skomplikowana, przejrzysta, żelazna budowla, do góry nogami postawiona. Aureola, otaczająca globus, dotąd jeszcze nie wszędzie widzialna, ale już wszędzie słyszalna, składa się z krzyżujących się w powietrzu, idealnych, wielojęzycznych linii.

W Salonie T. S. F. setki firm wystawiają różne modele radja: jedni chlubią się, że dają meble luksusowe, dostosowane do stylu dzisiejszych mieszkań; inni, że w kieszeni uwieźć potrafią mowę całego świata. Słuchawka „Pival“ dyskretnie oddaje najlżejsze dźwięki; głośnik „Cosmos“ w historyczną noc 2-go września pozwolił nie tylko pięknej Mary Costes w ciszy mieszkania śledzić uchem drogę męża, ale też i olbrzymim tłumom, zebranych na Place de la Concorde, cieszyć się sławą Francji.

Tu, w tej skrytce, za 10 franków głos swój możesz przekazać wiekom. W tym standzie — zobaczyć Faustowe i innych szaleńców urzeczywistnione marzenia. Homunkulus, sztuczny człowieczek, przebrany

za boya z Palace-Hôtel, pod wpływem padającego nań światła tajemniczej dla mnie lampy, rusza się, kłania i to nie bezmyślnie, lecz tak, jak sytuacja życiowa tego wymaga, wykonywa różne ruchy. Widzisz foto Leny Meyerhold, która w Krakowie do setek tysięcy przemawia, i stację wileńską z pochlebny objaśnieniem. Dostajesz Radio-Magazine, dziennik na 40 stronach, obok programu międzynarodowego zawierający ostatnie nowiny: „Radjofonja na usługach muzeów” dawać będzie komunikaty, zachęcając do zwiedzania zbiorów sztuki, które dziś potrzebują reklamy, wiadomość, prawdziwie rewolucyjna, o wynalazku elektrycznych organów. Miesięcznik „Radio-Pratique” zachęca do czynienia nowych ulepszeń w tej dziedzinie.

Oszołomiony jesteś tem, co jest i tem, co opowiadają programy, których tak pełne masz ręce, że firma Métal-Mazda-Radio, litując się nad tobą, ofiaruje silną i trwałą torebkę. W nią ładujesz wiedzę i przemysł, niesiesz do metra z taką pieczołowitością, jakbyś był kolekcjonerem tych, naprawdę dziś tylko posiadających wartość, ulotek. Choć mógłbyś je rzucić w ką: Paryż nie Warszawa i nikt tu porządku ulicznego nie przestrzega. Przynosisz je z pietyzmem do domu, żeby już więcej do nich nie zajrzeć, a nawet, nazajutrz znosisz do wielkiej, blaszanej bani, która gromadzi śmiecie całej kamienicy. To jest los próspektów, ale coś po nich pozostaje: to pewność, iż film mówiony stanie się tem dla teatru, czem był druk dla pisma; to wiara, iż stoimy wobec popularyzacji sztuki, i zachwyt dla imponującej młodości starego świata.

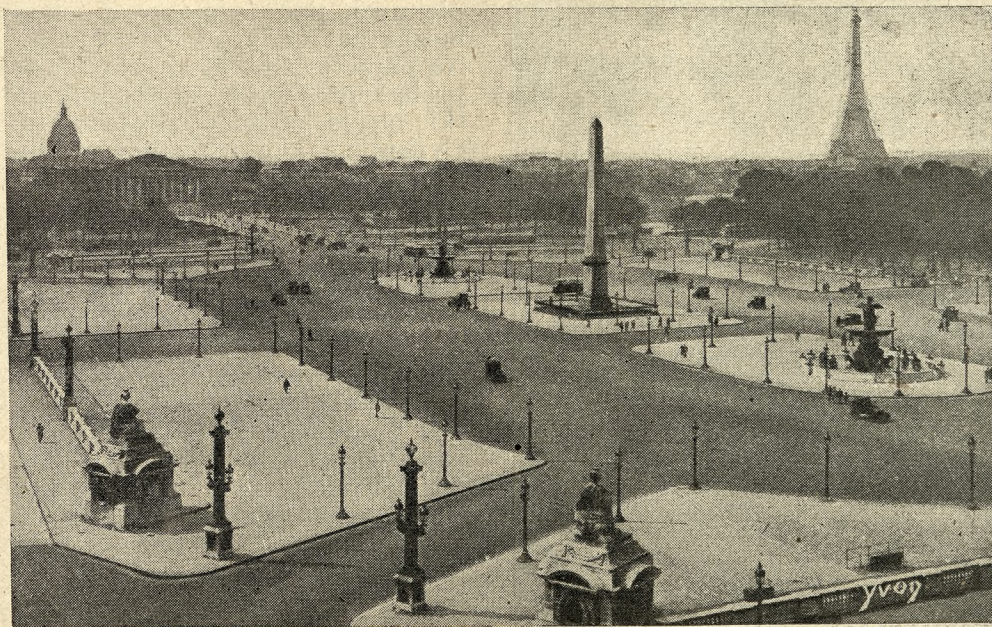
Ale żebyś mógł należycie korzystać z udoskonalenia, dopasować się do szalonego tempa, należy dotychczasowe życie uprościć, wyzbyć się wielu towarzyskich tradycji, usunąć balast naleciałości, który obciąża zawrotnie mknący statek krótkiego dnia. W tym zapewne celu, Paul Reboux, znany powieściopisarz i krytyk, wydał nowe „Savoir-Vivre”. Na okładce, czerwoną miotłą usuwa spróchniałe kłody, zagradzające drogę do rekordu szybkości biegnącym nogom. Ale

czyż francuz może się odrazu, jednym miotłą pociągnięciem, wyzbyć przodków swoich galanterji? Tembardziej, iż więcej się ona dziś w pięknym słowie, aniżeli obowiązującym czynnie wyraża; a słowo jakże łatwe jest dla spadkobiercy Bossueta! Nawet, gdy nie uczęszcza do oratorskiej szkoły...

Ciężkie konieczności życiowe tyle wymagają nakładu pracy, iż jest dziś w świecie całym dążność, aby życie uczynić mniej skomplikowanem, brać je — z jaknajmniejszym wysiłkiem. Paryż w tem celu, jak słusznie zauważył Jan Wiktor; tu, z uśmiechem zachęty, wychodzi człowiekowi naprzeciw: jedzenie, ubranie, przyjemność i książka. Możesz nie kupować, ale wszystko zobaczyć, wziąć do ręki i przymierzyć do swego apetytu, żądzy rozrywek, czy żądzy piękności, wiedzy.

Wiedza zabiega o człowieka, jak dawniej on szukał jej opieki. W tym jesiennym czasie, aby odciągnąć ludzi od dancingów, gdzie, ze względu na długie suknie, po skakanych tańcach znów się w posuwistych tańcach ćwiczymy, i walc wrócił do łaski, liczne ogłoszenia obiecują bezpłatną naukę: Academia Gaya, subwencjonowana przez rząd hiszpański, prosi o zapis na kurs języka; wszystkim dostępne są studia wymowy — nie, przepraszam! jedynie francuzom: czasem i oni chcą mieć coś „en exclusivité”; reklama, zrozumiana we Francji tak dobrze, jak nigdzie, i czyniąca cuda w dziedzinie handlu i przemysłu, odsłania swe tajemnice tym, którzy uiszcza minimalną opłatę.

Otwarte gościnnie księgarnie na długich stołach układają nowości — najczęściej Claude Farrère: Le Chef, Francois Carco: La Rue, i znów Claude Farrère: Le Chef i Francois Carco: La Rue, bo tej jesieni dotąd zbiór lata nie jest obfity. Zanim tomy te w setkach egzemplarzy rozejdą się po świecie, niech nasycą się bezpośrednio powietrzem Paryża. Niektórym pisarzom nie wystarcza przemawiać do czytelników drukowanem słowem i wymowną okładką: chcą sugestjonować swą osobą, wyrazem twarzy za-



Plac Zgody w Paryżu.

chęć do poznania myśli. Fotografje umieszczają na wystawach, obok dzieł. Henri Montherlant najbardziej niedyskretnych wpuści do gabinetu — pokazuje: jak syn dzisiejszego wieku pracuje... Albowiem, jak przed stu laty Alfred de Musset, tak obecnie ten młody pisarz najlepiej reprezentuje niepokoje swej epoki. Zaczął od apoteozy sportów, od apoteozy — nawet walki byków*); a dziś rozwiązania zagadki szuka u „Vierge Noire“, hiszpańskiej Madonny, ukrytej w górach Montserratu. Jakże inaczej pracuje córka wieku, Germaine Dulac, pisząc scenariusz do nowego filmu i układając jego reżyserję!

Artyści też wyszli na ulicę. Dość marzeń o sławie w nieopalonej pracowni! trzeba szukać pieniędzy. Szczególnie w tej tragicznej chwili, gdy nadszedł termin trzymiesięcznego komornego.

La Horde du Mont-Parnasse, w poprzedzające dni, na otwartym powietrzu Bulwaru Raspail, wzorem targów na jarzyny, owoce i kwiaty, w prowizorycznie sklecone budzie, urządza wystawę. Ze swemi arcydziełami czy kiczami, zasiadają starzy i młodzi. Więcej starzy, bo młodzi łatwiej dziś „dochodzą“. Damy też. Różne narodowości. Widzi się baczki i perleryny, słyzy się rosyjską mowę i mniej nawet w Paryżu rozumiała — japońską. Katalogów niema, więc nie wiem, czy znalazł się jaki odważny polak, lub jaka odważna polka.

Dziela tych ludzi całe przestrzenie krajów, inne poglądy na sztukę, a łączy gościnność Paryża, ta sama



Germaine Dulac pisze scenariusz do nowego filmu.



Józefina Baker.

potrzeba zarobku i może często ta sama miłość swobody i miłość pracy.

Przedewszystkiem dzisiejszemu lenistwu służy afisz. Więcej jeszcze — oszukaństwu. Łapie martwymi literami, kłam zadając w żywe oczy. Ponieważ to sezon futrzany, więc na ścianach ulic i metra pełno pięknych pań w pięknych płaszczach, które nabyć można za 70, 75 czy 80 franków miesięcznej spłaty. Na papierze śliczne, w rękę się rozłazi. Ile prócz tego postaci nieżywych zaludnia miasto! Zabawne są chińskie cienie jeźdźców z ogłoszeń o otwarciu Zimowego Cyrku; na kioski, usunawszy królującą przez kilka miesięcy w czarnych koronkach hiszpańskich Raquel Meller, powróciła zdezonizowana, zdawało się, Józefina Baker. W nowej rewji „Casino de Paris“ śpiewa:

„Je voudrais vous donner à tous un peu de mon coeur ..“

a na swych ulicznych portretach, które raczej „aktem“ nazwaćby można — daje młodość kreolskiego, jak Ijana po murze, pnącego się ciała.

Wobec licznych rywali, dyrekcje teatrów muszą rozwijać pomysłowość, na jaką ich stać.

Po mieście jeździ wielka, stara landara, wioząca sześć naturalnej wysokości lalek w ślubnych sukniach. To znaczy: idźcie do La Scali! gorzko będziecie się śmiać z nieszczęśliwego Dranema, który w dzisiejszych czasach ma „Sześć cór na wydaniu“.

Paryż w listopadzie.

*) Henri de Montherlant: „Les Bestiaires“ — świeżo przełożone na język polski przez Jana Parandowskiego, p. t. „Ludzie Areny“.

KULTURA MŁODOŚCI

Pisma zagraniczne przynoszą nam nieraz opisy treningów sportowych, w których biorą udział obok swych córek — matki, mogące jeszcze (nie w wyniku wprawdzie, ale w stylu) rywalizować z młodem pokoleniem. Nieraz widzi się w zagranicznej prasie fotografie matek, sportujących wraz z dziećmi, a głośniejszą jest opowieść o staruszcze, która dzień swych urodzin obchodzi w ten sposób, że zabiera na łódź swe wnuczęta, aby potem przebyć wraz z nimi wpław przestrzeń kilkuset metrów.

A u nas? W ogrodzie Jordanowskim w Warszawie przeznaczono jedno z boisk dla matek, aby mogły użyć trochę ruchu w ciągu tych kilku godzin, jakie w ogrodzie spędzają. Dziś jednak boisko to służy dzieciom, gdyż matki z niego nie korzystały. Dlaczego?

Może żadna z nich nie chciała wziąć na siebie trudu namawiania pań i organizowania zespołu. A może nie chciały tracić autorytetu w oczach własnych dzieci? Oczywiście, nie dlatego, że autorytetowi ich szkodziłby sam fakt bawienia się w piłkę, nie — ale co pomyślałyby dzieci o matce, która nie umie złapać piłki i nie umie dobrze jej rzucić?

I oto, wskutek tego, że nie wychowano ich odpowiednio, młode kobiety spędzają całe dnie bez ruchu, uważając, że „już za późno” na naukę sportów.

A dopiero wtedy, kiedy waga osobowa da alarmujący sygnał „przybywania”, kiedy krawcowa zauważy, że trzeba dobierać inne fasony sukien, wtedy pani, nie używająca dotąd nigdy ruchu, zacznie interesować się sportem. I wtedy będzie napewno żałowała, że przed paru laty nie zaczęła tej sportowej kuracji.

Bo może wówczas przekonałaby się, że ćwiczenia gimnastyczne i sporty — to nie nudna, wyrozumowana kuracja, ale przyjemność, przyjemność tak wielka, że wnosi zupełnie nowe wartości w życie jednostki.

Znam osobę, która bez przesady twierdzi, że gdy

przyjdą na nią chwile ciężkiej depresji psychicznej, to spogląda na swoje narty, które przypominają jej, że jest przecież coś, dla czego żyć warto. Rozumiem takie uczucie najzupełniej i myślę, że gdyby ta osoba grała jeszcze w piłkę, czy pływowała lub wiosłowała, to pewno chwile depresji występowałyby znacznie rzadziej.

Sport nie tylko dlatego przedłuża młodość, że jest ćwiczeniem ciała — nie: sport daje przede wszystkim radość życia, a to jest najpewniejszy czynnik odmładzający.

Dobrze; ale co mamy zrobić, jeżeli nigdy dotąd nie ćwiczyłyśmy? Do czego się zabrać, od czego zacząć? Niefortunny wybór sportu może zniechęcić raz nazawsze do wszelkich rozrywek sportowych. Postaram się zatem omówić pokolei poszczególne działy ćwiczeń cielesnych i sportów, aby panie, które tą drogą chcą przedłużyć swą młodość, mogły znaleźć odpowiednie wskazówki.

Podstawą ćwiczeń cielesnych i zaprawą do wszelkich sportów musi być gimnastyka. Gimnastyka daje nam racjonalne ćwiczenie wszystkich grup mięśniowych, trening płuc i serca, i dzięki temu jest niezbędna dla człowieka.

Osoby, które zaczynają jakiś sport, a nigdy przedtem się nie gimnastykowały, odczuwają zawsze wielkie przemęczenie, bóle mięśni i t. p. Organizm ich, nie przywykły do pracy, nie może dać sobie rady z większym wysiłkiem. Obserwowałam to nieraz na paniach, zabierających się do tenisa, czy do nart; obserwuję to na sobie, jeżeli rozpoczynam sezon narciarski, zaniedbawszy uprzednio zaprawy gimnastycznej.

Jeżeli chodzi o przyjemność, to bezwątpienia jedno popołudnie gier da większą jej sumę, niż gimnastyka; natomiast dla zdrowia systematycznie uprawiana gimnastyka jest ważniejsza od dorywczego sportowania.

Jak uprawiać gimnastykę? Tu zaczyna się trudność największa, albowiem najpożyteczniejszą będzie



Matka i córka razem używają sportów.

niewątpliwie codzienna gimnastyka ranna, a to wymaga dużego wysiłku woli. Zwłaszcza dla kobiet pracujących, które muszą śpieszyć się rano na oznaczoną godzinę, wyrwanie kwadransa na ćwiczenia jest rzeczą niewątpliwie trudną.

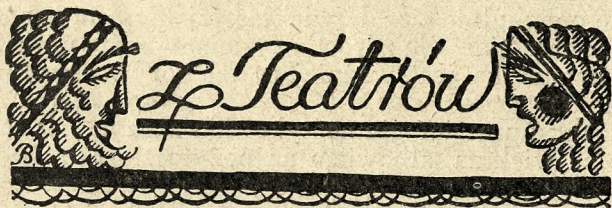
Trzeba włożyć dużo wysiłku woli w to, aby potrzeba rannych ćwiczeń stała się nałogiem tak, jak potrzeba mycia, czy zjedzenia śniadania. A jednak można do tego dojść, zwłaszcza w domach, gdzie chodzi się spać wcześniej i gdzie człowiek budzi się rano wypoczęty. Jeżeli dla celów gimnastyki rannej nauczymy się wcześniej kłaść spać, to niewątpliwie skorzystamy na tem podwójnie.

Pozostaje zatem dobór ćwiczeń. Najlepiej jest uczęszczać dwa czy trzy razy w tygodniu na komplety gimnastyczne, jakich nie brak w żadnym większym mieście, i potem niektóre z tych ćwiczeń powtarzać rano. Instruktorka takiego kompletu napewno chętnie udzieli wskazówek. Gimnastyka, jak wszelkie ćwiczenia cielesne, jest umiejętnością, którą lepiej i łatwiej zdobywa się przez bezpośredni pokaz, niż przez drukowane słowo.

Dla pań jednak, które nie mają możliwości ćwiczenia w zespołach gimnastycznych, koniecznym będzie korzystanie z literatury fachowej.

Ponieważ jednak nie wszystkie panie będą mogły odrazu zaopatrzyć się w podręczniki — podamy w następnym artykułiku parę przykładów ćwiczeń, choć zaznaczamy z góry, że konieczne jest posiłkowanie się podręcznikiem obszerniejszym, niż dorywcze wskazówki.

W. Prażmorska.



TEATR POLSKI.

„Gra miłości i śmierci“ — sztuka w 5 aktach Romain Rollanda. Przekład Adama Zagórskiego. Reżyserja A. Węgierki. Dekoracje i kostjumy K. Frycza.

Autor Jana Krzysztofa jest nieuleczalnym idealistą; wierzy w człowieka. I ta wiara jest u niego źródłem zarówno pesymizmu wobec zbiorowości, jak krańcowego optymizmu wobec jednostek wybranych. Tłum jest straszem i podłem zwierzęciem, gnanem ku zbrodni przez dwa bicz: głód i strach. Jednostka może zwyciężyć strach śmierci bohaterstwem, a ponad poczucie krzywdy wyrosnąć poświęceniem.

Za tło do swojej „Gry miłości i śmierci“ obrał Romain Rolland wielką rewolucję francuską, a mianowicie ten moment, kiedy po aresztowaniu Dantona do szczytu władzy doszedł Robespierre. W ponurej atmosferze, niemal w cieniu gilotyny, której wprawdzie nie widać na scenie, ale o której ciągle się mówi, rozgrywa się jeden z najszlachetniejszych konfliktów miłosnych, jakie mogła wymarzyć czysta imaginacja „kierownika sumień“. Nigdy chyba zagadnienie trójkąta małżeńskiego nie zostało rozwiązane w sposób tak ewangeliczny, że aż porywający swą naiwną prostotą. Jedno poświęcenie pociąga za sobą drugie. Miłość zwycięża śmierć.

Technika Rollanda jest nieco staroświecka i ciężkawa. Ma się wrażenie, jakby temu tytanowi myśli etycznej ciasno było



Teatr Polski: „Gra miłości i śmierci“. — Marja Przybylko-Potocka i Modrzewska.

w ramach sceny. Porusza się w nich niezgrabnie, potyka się co chwila o stare, zużyte rekwizyty efektów melodramatycznych; nie gardzi nawet sensacją w guście Grand Guignola, aby wreszcie odrzucić te wszystkie skorupy formy, które nie godne są stać się naczyniem ideału, i kończy subtelną pointe'ą psychologiczną, daleką w swej wewnętrznej pogodzie od okropności śmierci, choć nie kto inny, jak właśnie sama śmierć, wkracza na scenę.

Dzięki niezmiernie rozległej, ale jakże nierównej skali efektów Rollanda — od krańcowo jaskrawej i brutalnej groteski, poprzez nienaturalny pałos i książkową deklamację w stylu Victora Hugo, aż do najsubtelniejszej maeterlinckowskiej zadumy — wrażenie, jakie wywiera „Gra miłości i śmierci“, jest nierówne, poszarpane. Widz czuje się często znudzony i rozdrażniony, niekiedy jest wprowadzony w zdumienie, porwany, ale nigdy nie przekonany. Dziedzina bezpośredniego oddziaływania na duszę ludzką i współzycia z człowiekiem, jest dla Rollanda lektura jego dzieł, nie zaś scena. Czytelnik ulegnie jego sugestji, widz — nigdy.

Wykonawcy „Gry miłości i śmierci“ dokładali wszystkich sił, żeby nas przekonać o prawdzie swoich uczuć. Marja Przybylko-Potocka dyskretnie stoczyła pojedynek szlachetnych między głosem serca a obowiązku. Samborski zrobił bohatera w wielkim stylu. Młodziutka artystka K. Lubieńska, która dała się poznać w „Domu kobiet“, jako typ impulsywnie chwytający w lot daną rolę, i tu poszła właściwą sobie, a niezawodną dla rodzaju jej talentu, drogą.

Reszta artystów była właśnie tak patetyczna, posągowa, lub ordynarnie hałaśliwa, jak tego wymaga typowa francuska tragedja z „Comédie française“.

S. P. O.

SPROSTOWANIE.

W 45-ym numerze „Bluszczu“ zakradła się omyłka zecerka. Na stronie 12-iej błędnie wydrukowano podpis pod reprodukcją obrazu Stefana Norblina. Zamiast „Mieczysława Augustowa Zaleska“ powinno być: „Ministrowa Augustowa Zaleska“.

KANDYDATKI KOMITETU WYBORCZEGO ORGANIZACJI KOBIECYCH

Komitet Wyborczy Organizacji Kobietych postawił na listach wyborczych cały szereg kandydatur kobiecych ze stolicy i różnych stron kraju.

Nie mogąc zebrać wieści o wszystkich, podajemy sylwetki tych, które stoją na liście państwowej, oraz kandydatek Warszawy, Lwowa, Krakowa, Wilna i paru miast prowincjonalnych.

Zofja Berbecka kandyduje z listy państwowej do Sejmu; z zawodu nauczycielka gimnazjum, od r. 1906 prowadziła w Rosji pracę oświatową wśród żołnierzy-polaków, organizowała polskie tajne drużyny harcerskie i Polską Organizację Wojskową na Ukrainie. W r. 1914 była jedną z założycielek Ligi Kobiety; w czasie inwazji bolszewickiej pracowała w Czerwonym Krzyżu, potem w Białym Krzyżu, w r. 1925 w organizacji „Rodziny Wojskowej”, której pozostaje obecnie wiceprzewodniczącą naczelnego zarządu. Odznaczona złotym krzyżem zasługi.

Halina Jaroszewiczowa. W czasie studjów uniwersyteckich w Krakowie, członkini zarządu Stow. Młodzieży Niepodległościowej, Komendantka 1 plutonu żeńskiego oddziału Związku Strzeleckiego, w r. 1914 odkomenderowana do oddziału lotniczego legjonów, bierze udział w akcji bojowej, organizuje P. O. W. żeńską w Lublinie i zostaje komendantką jej, potem kurjerką do komendy legjonów. Trzykrotnie uwięziona, zesłana do „Butyrek”, po zwolnieniu z więzienia organizuje młodzież polską w Moskwie; w r. 1916 przekrada się do Polski łodzią przez Bałtyk, w Warszawie zgłasza się natychmiast do P. O. W. i bojowej organizacji P. P. S., walczącej z Niemcami. Od chwili niepodległości pracuje stale w licznych stowarzyszeniach, organizuje nowe, zajmując stanowiska wiceprzewodniczącej Związku Pracy Obyw. Kobiety, członkini Zarządu „Rodziny Wojskowej”, Białego Krzyża, Związku Strzeleckiego i innych. Odznaczona krzyżami: za wierną służbę, Walecznych i Virtuti Militari.

Marja Jaworska. Nauczycielka gimnazjum i publicystka, członkini zarządów: Ligi Kobiety, Związku Pracy Obyw. Kobiety, radna m. Lwowa, świetna mówczyni, gorąca rzeczniczka równouprawnienia, posłanka do poprzedniego Sejmu.

Janina Kirtiklisowa. Już jako uczennica IV klasy gimnazjum, brała udział w tajnych organizacjach młodzieży niepodległościowej, redagowała pismo „Znicz”; od r. 1915 pracowała w Lidze Kobiety, P. O. W. i Związku Strzeleckim. Później bierze żywy udział w pracach społecznych na wileńszczyźnie, organizując Związek Pracy Społecznej Kobiety, który w r. 1929, dzięki inicjatywie p. Kirtiklisowej, połączył się ze Związkiem Pracy Obyw. Kob., przetwarzając się w wileński Oddział wojewódzki Związku. P. Kirtiklisowa stoi dziś na czele tego oddziału.

Zofja Moraczewska. Czytelniczki nasze znają sylwetkę tej zasłużonej działaczki, pisaliśmy o niej w roku bieżącym z racji jej kandydatury na ministra pracy i opieki społecznej. Na długo przed wojną pracowała w Galicji, organizując kobiety-robotnice, agitując gorąco za sprawą równouprawnienia. Od r. 1914 niosła pomoc moralną i materjalną legjonistom, jednocześnie stała na czele Ligi Kobiety. W 1920 r. znów organizuje pomoc dla wojska, w którego szeregach walczył i zginął jej młodziutki syn. Pomimo tego najboleśniejszego ciosu, *Zofja Moraczewska* nie ustala w pracy. Jest do dziś czynna i niezmordowana, nazwisko jej znajdujemy na czele placówek kobiecych, jak Liga Kobiety i Zw. Pracy Obywatelskiej, którego jest przewodniczącą. Praca jej ogarnia wiele dziedzin, treścią jej jest kultura, oświata, demokratyzacja społeczeństwa, prawa kobiety i matki. duszą: dobro Polski.

To są kandydatki do Sejmu z listy państwowej.

Do Sejmu z Warszawy postawiono *Natalję Greniewską* i *Eugenję Waśniewską*.

Natalja Greniewska jest literatką. Od r. 1905 brała udział w pracy oświatowej wśród robotnic, była członkinią ówczesnego Stow. Równouprawnienia Kobiety, obecnie jest wiceprzewodniczącą warszawskiego oddziału Związku Pracy Obywatelskiej.

Eugenja Waśniewska, znana również dobrze „Bluszczowi”, który parokrotnie zdawał sprawę z jej działalności, jako delegatki na konferencję pracy w Genewie, oraz umieszczał jej artykuły. Członkini kilkunastu stowarzyszeń kobiecych i mieszanych, delegatka na liczne zjazdy międzynarodowe lig i stowarzyszeń kobiecych, posłanka w ostatnim Sejmie, gdzie prowadziła energiczną kampanję w sprawie policji kobiecej, inspektorek pracy i opracowania projektu zmiany konstytucji.

Z powiatu warszawskiego kandydują do Sejmu: *Katarzyna Grodecka*, nauczycielka i autorka podręczników szkolnych z Łowicza; *Klotylda Oyrzanowska*, działaczka społeczna i radna miasta Kutna; z Włocławka *Ludwika Wolska*, organizatorka kobiecego ruchu społecznego na terenie województwa warszawskiego i członkini Związku Pracy Obywatelskiej; z Krakowa wystawiono kandydaturę *Zofji Przybylskiej*, nauczycielki gimnazjalnej, zasłużonej pracownicy społecznej w zakresie oświaty i opieki pozaszkolnej oraz opieki nad rodzinami legionistów i żołnierzy, członkini Związku Pracy Obyw. Kobiety.

Do Senatu umieszczono na liście państwowej *Annę Brzezińską* i *Hannę Hubicką*.

Anna Brzezińska. Ma za sobą długoletnią pracę w Kole Polek, Patronacie nad Młodzieżą Rzemieślniczą, opiece nad żołnierzem i w Komitecie popierania Skarbu Narodowego. Potem działalność plebiscytową na Śląsku, przewodnictwo w Zjednoczeniu Mieszczanek, udział w Związku Pracy Obywatelskiej, pracę publicystyczną. Otrzymała odznaczenie Skarbu Narodowego 1 stopnia.

Hanna Hubicka. Od r. 1906 bierze udział w walce o szkołę polską. Lekarka, absolwentka uniwersytetu genewskiego, pracuje jako lekarz czołwki chirurgicznej, potem jako kierowniczka biura prasowego zarządu cywilnego na terenie, okupowanym przez korpus gen. Dowbora, agituje za organizacją polskich formacji wojskowych na Wschodzie; jest jedną z założycielek i pierwszą przewodniczącą Koła Polek na ziemiach wschodnich, kierowniczką Sekcji żeńskiej Ligi Walki czynnej i sekcji żeńskiej P. O. W. w Bobrujsku i w Mińsku. Po powrocie do kraju jest jedną z inicjatorek przysposobienia Wojskowego Kobiety, wiceprzewodniczącą „Rodziny Wojskowej”, członkiem Zarządu Związku Pracy Obywatelskiej. Posiada odznaczenia: odznakę Polskiej Ligi Wojskowej Walki czynnej, Medal 10-cio lecia służby państwowej, Krzyż P. O. W., Krzyż V klasy Virtuti Militari; z obcych — jugosłowiański order św. Sawy i Medal za udział w wojnie światowej.

Z tych krótkich, streszczonych faktów życia i pracy kandydatek widać jasno, czym były one dla Polski. Wszystkie znane i zasłużone w pracy społecznej, wszystkie szerzyły oświatę, kulturę, organizowały pomoc dla wszelkich formacji wojska polskiego; wiele z nich narażało się na śmierć i zносиło „pro patria vulnera, vincula, exilium”, aby mimo nich powrócić do ojczyznan warsztatu. Ich wyrobienie w pracy, hart i wola służby ojczyźnie dają gwarancję ofiarności i pożytku ich działalności. Kobiety nowoczesne w najlepszym znaczeniu tego wyrazu, dążące do zniesienia krzywd i niesprawiedliwości, do stworzenia warunków pokoju, równości i swobodnego rozwoju pracy dla dobra jednostki, rodziny i ogółu, wnieść mogą do Sejmu nowe soki ożywczegoj energii, wprowadzić w czyn postulaty nowego życia.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

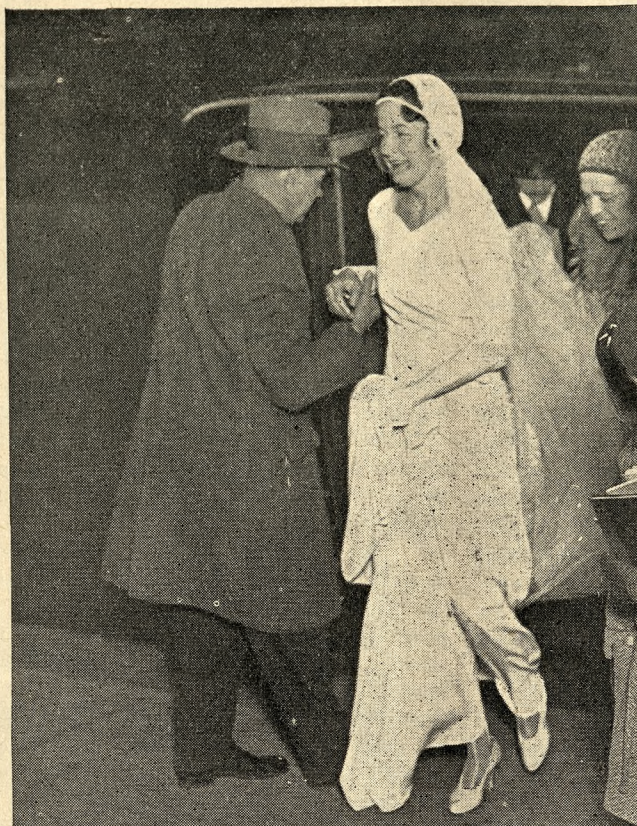
KURS PRZECIWALKOHOLOWY.

W dniach od 24 — 29 listopada 1930 r. odbędzie się w Państwowej Szkole Higieny V-ty kurs przeciwalkoholowy, ujmujący z punktu widzenia lekarsko-społecznego współczesną wiedzę o alkoholizmie i jego zwalczaniu.

Kurs jest bezpłatny. Wpisowe wynosi 5 zł. Zapisy trwają do 15 listopada r. b. Wszelkich wyjaśnień w sprawach kursu udziela i przyjmuje zapisy codziennie, prócz świąt, od godz. 1 — 3 popoł. Sekretariat Kursu: Państwowa Szkoła Higieny — Warszawa, Chocimska 24, tel. 423-58 lub 104-81.

ORYGINALNA ZMIANA ZAWODU.

Znane ulubienice publiczności, tancerki Dolly sisters, przerzuciły się do handlu. Otworzyły sobie w Paryżu, przy Avenue des Champs Elysées wielki magazyn konfekcji damskiej. Urządzenie magazynu imponuje nie tylko przepychem, lecz oryginalnością i artystycznym smakiem. Każdy rodzaj ubrań demonstrowany jest na tle pokoiów o odpowiednim urządzeniu. Naturalnie, magazyn ma wytworne kawiarnie, chambre des cocktails. Wszędzie usługują osobiście urocze Dolly, przy cocktail'ach rezyduje „ojciec Dolly”.



JABŁKA, Z KTÓRYCH SIĘ ROBI WINO.

W gmachu Agricultural Hall w Londynie otwarto wystawę rolniczą.

Między innymi zwracają uwagę przetwory owocowe. Ulubiony jablecznik, fabrykowany na wielką skalę, demonstrowany jest obok stosów pierwowroduktu: jablek, zarówno angielskich, jak kanadyjskich. Dalej idą produkty kolonji, nieprawdopodobnie bogactwa, zwożone do Anglii ze wszystkich stron świata. Wspaniałe owoce, jarzyny, zboża, korzenie, wina.



Po zmęczeniu sprawkami, kieliszeczek cocktail'u.

CÓRKA FORDA WYSZŁA ZAMAŻ.

Ślub panny Ford odbył się niedawno w Nowym Yorku. Córka króla samochodów wyszła za młodego inżyniera, który nie posiadał innego majątku prócz wielkich zdolności i nadziei na przyszłość. Na rycinie widzimy pannę młodą, wysiadającą z samochodu, śledzą ją z najwyższym zaciekawieniem małe pensjonareczki, którym na drodze ze szkoły trafił się tak zajmujący widok.

RADA I KRYTYKA

Pozornie, zdawałoby się, co to ma jedno do drugiego? Owszem, ma, i wiele, zwykliśmy bowiem postępować tak, aby jednym i drugim zatruwać bliźnim naszym życiem.

Już w starych modlitwach znajdujemy prośbę „o dar dobrej rady”; zupełnie słusznie: jest to jedna z umiejętności psychicznych człowieka, na nieszczęście o wiele rzadsza od złota.

Radzić każdemu na prawo i na lewo lubimy niezmiernie, więcej jednak jeszcze lubimy mieszać radę z krytyką. Przyczem rzadko zastanawiamy się, czy obie są uzasadnione i pożyteczne. Wszystko, co zauważymy u drugich — począwszy od spraw ważnych, a skończywszy na najbłahszych — pobudza nasz zmysł krytyczny, otwierając zarazem upusty „dobrych rad”, które radziliśmy pouczyć naszych przyjaciół, przekonać ich, jak fatalnie dotychczas postępowali, i wskazać zbawienną drogę, jedynie (zdaniem naszym, naturalnie) możliwą dla nich do obrania na przyszłość.

— Cóż za niemożliwy materiał! Czy nie wiesz, że ten kolor wychodzi z mody? Żeby też sprawiać nową rzecz i nie poradzić się kogoś! Ale jest sposób: daj to do farby, póki nie uszyte, ufarbują ci bardzo dobrze na granatowo.

Zainterpelowana wie doskonale, że beige nie jest najmodniejszy, ale równie dobrze zdaje sobie sprawę, że w granatowym jej nie do twarzy, że ma dobre jeszcze palto, kapelusz i różne drobiazgi, do których właśnie suknia beige będzie dobrana, a do granatowej trzebaby wszystko odpowiednie kupować; że wreszcie lubi spokojny cień piaskowego koloru, a rada oddania nowego materiału do farby jest nonsensem. Ale cóż to wszystko obchodzi zapaloną doradczynię, ona patrzy ze swego tylko punktu widzenia i wobec niezastosowania się do jej życzeń, odpowiada obrażonym tonem: Naturalnie! ty przecież nigdy nie słuchasz tych, którzy ci dobrze radzą!

— Karol nie umie sobie zupełnie ułożyć życia; ile razy mówiłem mu, radziłem, siedzi na marnej posadzie, źle zarabia, jest przecież zdolny. Taki M... nie ma połowy tego rozumu, od dwóch lat trzeci raz zmienia zajęcie na coraz lepsze, teraz dostał świetną ofertę do Ameryki, jedzie na pół roku i już ma zamówioną książkę z opisem kolonij, które tam zwiedzi. To się nazywa umieć żyć! Ale Karol nigdy nie słucha dobrej rady; dwadzieścia razy mówiłem mu: rzuć tę głupią posadę! — ani chce słuchać.

Doradca raczył zupełnie zapomnieć, że ów Karol jest człowiekiem, obciążonym rodziną i nie mającym żadnych zasobów materialnych, a „umiejący żyć” p. M. — to kawaler, syn zamożnych rodziców, co daje mu właśnie tę, tak pożądaną w każdym zawodzie, pewność siebie i swobodę ruchu. Że ma on jeszcze i drugi atut: łatwość przystosowania się do ludzi i obojętność, w jakich pracuje warunkach, podczas gdy tamten jest nieśmiały, drażliwy i ceni nadeszły do dobre stosunki koleżeńskie i pracownicze, które ma właśnie na swej, gorszej materialnie posadzie.

Ale cóż to wszystko znaczy: grunt, że przyjaciel troszczy się, myśli, radzi, oburza na przedziwny brak wrażliwości i chęci zastosowania się do tak jasno i celowo wytkniętej drogi.

I tak, od błahostek do najważniejszych zagadnień życiowych. Zawsze lubimy lepiej wiedzieć, co

robić należy, od tych, którzy są najwięcej zainteresowani.

Nie zapomnę nigdy, jak jedna z moich znajomych (przybyła świeżo z Paryża, gdzie prowadziła wielki interes komisowy) „radziła” drugiej, naszej wspólnej znajomej. Była to kobiecina skromna, starsza, która, straciwszy zajęcie w okresie wojny, zajmowała się drobnymi pośrednictwami; czasem trafiło się pośrednictwo w sprawie willi podmiejskiej, niekiedy trochę akcyj, czasem biżuterje; ot, aby cośkolwiek zarobić. Paryżanka była zdziwiona, jak można tak żyć. — Powinna Pani od razu zarejestrować się, jako pośredniczka, otworzyć sobie biuro, nie można inaczej! — Oburzona była, gdy rada jej nie została usłuchana, dla tej prostej przyczyny, że koszty takiej instalacji wyniosłyby kilka tysięcy, a pośredniczka zarabiała od 100 do 150 złotych miesięcznie.

Obserwując uważnie szereg takich faktów, a zwłaszcza cierpiąc je samemu na swojej skórze, przychodzi doprawdy ochota strawestować przysłowie i stwierdzić, że: *dobremi radami* piekło brukowanie

Czyż to ma znaczyć, że nie mamy prawa zwracać żadnych uwag naszym bliskim i starać się wpływać na ich postępowanie?

Owszem, niekiedy (powtarzam: niekiedy) mamy, ale właśnie dlatego znajdujemy w przeszłości modlitwę o dar *dobrej rady*.

Jeśli nie ma ona być dobra, to lepiej niech jej nie będzie wcale. Przedewszystkiem zastanowić się trzeba nad sposobem i tonem tych krytyk, zwykle dosyć niesłusznie zwanych uwagami, które zwracamy do naszego otoczenia.

Niewiadomo, dlaczego dzieje się tak, że właśnie ten ton jest niedopuszczalny.

Poza wypadkami specjalnie ceremonjalnych stosunków towarzyskich, uważamy, że wszystkim, z którymi żyjemy bliżej, możemy zwracać uwagę w sposób niedelikatny, czasami wprost niegrzeczny.

Przeszczepiliśmy tę zasadę z gruntu publicznego na prywatny i zdaje się nam, że ponieważ mamy prawo, a niekiedy obowiązek, wyrażania krytyki w sprawach ogólnych, to samo prawo przysługuje nam w stosunku do jednostki.

Tymczasem, jest to zupełnie co innego; każda instytucja i każda działalność publiczna jest złączona z publiczną własnością i dlatego możemy wypowiadać o niej swoje zdanie; postępowanie zaś jednostki w życiu prywatnym — zwłaszcza, o ile nie przekracza dozwolonych granic — własnością naszą nie jest i nie nas właściwie obchodzić nie powinno, nie mamy doń żadnego prawa.

Jeżeli więc, z tytułu jakichkolwiek stosunków osobistych, prawo to sobie przysadzamy, to w każdym razie powinniśmy tembardziej ubrać je w formę prawdziwej życzliwości i dobrego wychowania, dosłownie *zwracając tylko uwagę* danej osoby w kierunku zastanowienia się, czy właściwie postąpiła, a nigdy (jak to się zwykle dzieje) podając od razu w wątpliwość jej rację, a nawet inteligencję, rozsądek i t. p.

Przedewszystkiem, psujemy od razu cały efekt naszego wystąpienia, gdyż uwaga, w tym tonie wypowiedziana, nie trafi nigdy do przekonania, przez to, że oburzy i zirytuje, stawiając od razu sprawę na gruncie osobistej złośliwości pod czyjś adresem. Najlepszym dowodem tego jest, że zwykle osoby, występujące z tego rodzaju uwagami do drugich, same

obrażają się formalnie za najłżejszą krytykę, do nich przez kogoś zwróconą.

Tyle — co do sposobu udzielania rad; o wiele ważniejszą jednak sprawą jest ich treść.

Tu przede wszystkim powinniśmy zrozumieć, że, doprawdy, nie każdy ma warunki udzielenia rozumnej i, co najważniejsze, skutecznej rady. Trzeba znać doskonale sytuację danej osoby, wszystkie drobne, zarówno jak i ważne okoliczności, wpływające na takie a nie inne jej postępowanie i to nietylko obecnie, ale i w przeszłości, bo niedoceniamy zwykle faktu, ile razy przeszłość zahacza o terażniejszość i nie łatwo się od jej wpływów wyzwolić.

Trzeba jednak więcej jeszcze: należy być dobrym psychologiem, umieć poznać charakter człowieka, na którego postępowanie chcemy wpływać, i wiedzieć, czy ta droga, którą mu radzimy, będzie dla niego możliwa. Trzeba również do charakteru człowieka zastosować i sam sposób rady i formę, w jakiej ją podamy.

Ale, co jest najważniejsze, powinniśmy rozważyć, czy prócz słów, tak łatwo i hojnie szafowanych, nie przydałby się i czyn, faktyczna pomoc z naszej strony; czy pomoc tę dać mamy chęć i możliwość.

Reasumując: każda rada zostanie z pewnością lepiej przyjęta, jeśli nie będzie zawierała ostrej krytyki, raniącej miłość własną, a także, gdy zostanie podana w sposób istotnie „doradczy”, warunkowy raczej, zostawiający temu, któremu radzimy, drogę do zwrócenia się do nas o dalsze wskazówki, nie narzucający mu apodyktycznie naszego zdania; poza to, rada powinna być tylko wstępem do istotnej „pomocy”, choćby moralnej, lecz pojętej z całą powagą, a nie wykluczającej i czynnego współdziałania.

Gdyby wszyscy tak postępowali, mniej byłoby napewno doradców, lecz zato więcej istotnie dobrych rad i ich dodatnich skutków.

N. J.

ZASTOSOWANIE DEKORACYJNE CERAMIKI LUDOWEJ

Wystawa sztuki ludowej u Baryczków przypominała znów o bogactwie jej form i wzorów. Radziłyśmy zwrócić uwagę na rozległe możliwości zastosowania wytwórczości ludowej, jako elementu dekoracyjnego, w mieszkaniu współczesnym.



Ceramika bolimowska.

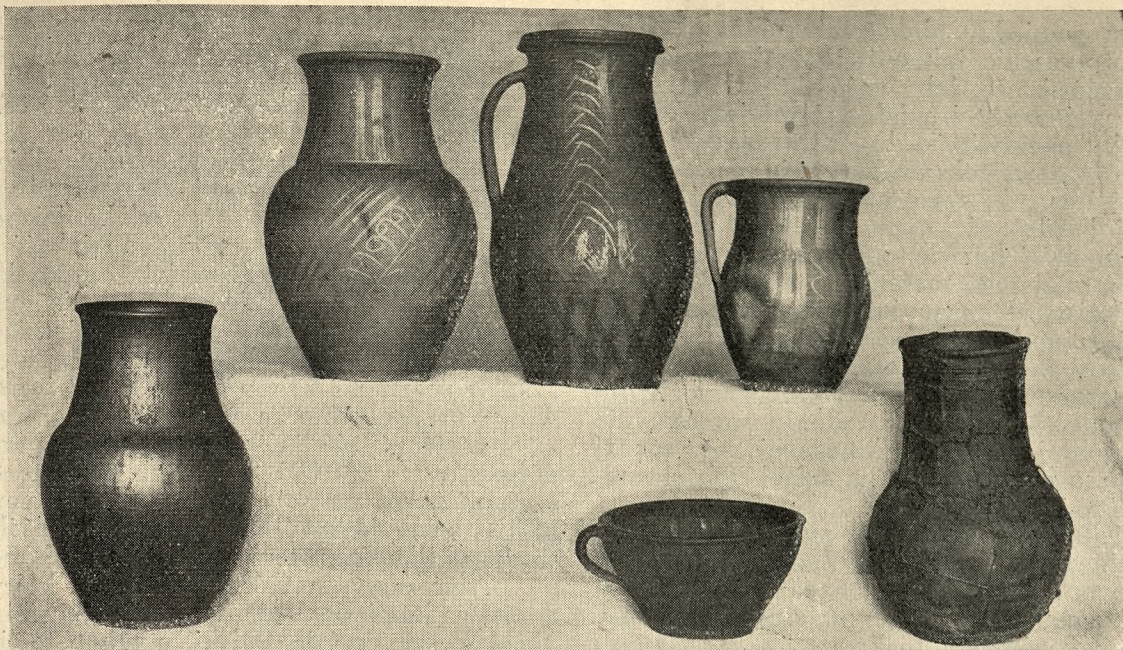


Ceramika ilżecka (woj. kieleckie).

Jesteśmy bowiem w tem szczęśliwym położeniu, że sztuka ludowa nie zanikła jeszcze u nas tak, jak na Zachodzie i to, co widzimy na wystawach, nie jest przeżytkiem muzealnym: są to okazy, zakupione aktualnie, które można również nabyć w Bazarach Towarzystw Przemysłu Ludowego. Najłatwiej dają się zastosować w mieszkaniu współczesnym — ze względu na ich użytkowość i niską cenę — ludowe wyroby ceramiczne.

Dzbanki i garnki huculskie, bolimowskie, polskie i kaszubskie zdobyły sobie słuszną sławę najtańszych, a zarazem bardzo artystycznych i dekoracyjnych upominków, szczególnie, jeśli ofiarowywane są z kwiatami, które można doskonale dobrać do kształtu ich form smukłych lub pękatek, do wzorzystej, białej lub czarno-siwej powierzchni. Talerze i miski huculskie doskonale dekorują półki kredensów i ściany. Ambitne właścicielki wzorowych i racjonalnie zorganizowanych kuchenek — owego laboratorium gospodarstwa domowego — zdobią półki takimi miskami i talerzami, które są nietylko artystyczne, ale najzupełniej praktyczne w użyciu. Popielniczki, patery, miseczki i śliczne zabawki ceramiczne zasługują również na szerokie rozpowszechnienie, a znane są istotnie zbyt mało.

Z wielkiej różnorodności polskiej ceramiki ludowej, która odbyła odwrotną drogę z pod strzech do salonów, najbardziej znana jest ceramika huculska, dzięki największemu bogactwu form i ornamentyki. Jak wiadomo, wyroby te są angobowane, czyli pobiałkowane, kryte białą polewą, malowane barwą zazwyczaj zieloną i brunatną we wzory roślinne, architektoniczne i zwierzęce, przeplatane ornamentem geometrycznym. Jelenie i gwiazdy, cerkwie i święci spo-



Ceramika włodarska i prużańska.

tykają się rzadziej, niż najróżnorodniej splecione kwiaty, gałęzie, siatki, kropki i kwiatki.

Ostatnio, oprócz świeczników, misek, dzbanów przeróżnych kształtów, garncarze huculscy zaczęli wyrabiać przedmioty użytkowe dla miasta, jak patery, talerze i talerzyki, popielniczki, filiżanki nawet i różnorodną drobną galanterję. Dzięki wielkiemu pokupowi przez niekulturalnych handlarzy, ceramika huculska poczęła obniżyć swój poziom artystyczny. W kramach różnych, niekiedy w koszach na ulicy, widzimy wyroby huculskie tandetne, nie mające nic wspólnego z właściwą sztuką Podkarpacia. Wyrobów tych należy skrzętnie unikać.

Doświadczalna Stacja Ceramiczna (przy Tow. Popierania Przemysłu Ludowego w Warszawie) wzięła w opiekę najzdolniejszych garncarzy, pragnąc ochronić ich produkcję od zbanalizowania i zatury cech artystycznych. Stacja ta poprawiła również ich technikę, wprowadzając nieluszczącą się polewę, wskutek czego garnki te przestały przeciekać. Te ud-

skonalone technicznie wyroby nabywać można w Bazarach Tow. Popierania Przemysłu Ludowego w Warszawie i we wszystkich większych miastach Polski.

Różnobarwne garnki kaszubskie, najczęściej ciemne, z grubo malowanym, dość prymitywnym ornamentem, mają charakter bardzo wiejski i odznaczają się urokiem swojskości. Szlachetniejszy, „bardziej cywilizowany“ wygląd mają śliczne wyroby ceramiczne z Bolimowa — o lśniącej, grubej pobiałce i śmiałym, niebiesko-zielonym, najczęściej roślinnym ornamentem. W dzbanach bolimowskich chryzantemy i tulipany wyglądają nie gorzej, niż w staropolskich fajansach.

Czarno-siwe garnki zadymione z Prużany polskiej, z Włodawy lubelskiej i z Huculszczyzny mają charakter archaiczny. Niektóre z nich z węższą podstawą, bardzo pękate i zwężające się ku górze, przypominają urny wykopaliskowe. Kształt ten, niezwykle piękny i wypracowany przez stulecia, wynikał z praktycznej potrzeby stawiania garnków do goto-



Ceramika huculska.



Garnki kaszubskie.

wania w piecu pomiędzy płonącymi polanami. Chodziło więc o otrzymanie jak największej pojemności garnka, a zarazem i o to, żeby najmniej miejsca między drzewem zajmował i miał najmniejszy otwór. Groteską byłoby namawianie do gotowania w takich garnkach, które po wsiach zwolna stają się przeżytkiem. Dzbany i garnki tego rodzaju, dzięki swym archaicznym i bardzo pięknym kształtom oraz niezwykłej, czarno-siwej barwie, sprawiają wrażenie jakiegoś szlachetniejszego materiału, stanowią cenny i oryginalny element dekoracyjny. Garnkarze ludowi, biegli w swej sztuce, potrafią wytoczyć i wypalić garnki olbrzymie, podobne do waz wspaniałych. Ciekawie, że mieszkańcy miast samorzutnie znaleźli dla nich zastosowanie. Naogół tego rodzaju wyroby nie podbijają popularyzacji klienteli, lubującej się raczej w pstrokaciznie ornamentu, niż w szlachetności spokojnego kształtu.

Uznano jednak, że garnki te mają wygląd urn żałobnych i oto pojawiły się, na Zaduszkach, na grobach wazy czarno-srebrzyste z płonącą oliwą lub parafiną. Wskrzeszono w ten sposób zwyczaj pradawny, pogański i bardzo zarazem piękny.

Oprócz garnków huculskich, kaszubskich, poleskich i włodawskich — uszlachetnionych bolimowskich — Stacja ceramiczna zajęła się ceramiką ilżecką. Ilża była już w XVII wieku wielkim ośrodkiem garncarstwa, eksportującym ceramikę aż do Szwecji. Ilża posiada specjalnie dobrą glinę i ciekawą tradycję ceramiczną. Z tych względów Doświadczalna Stacja ceramiczna zajęła się szczególnie tym ośrodkiem, pragnąc stworzyć tam warsztat wzorowy. Istotnie, garnki i kropielniczki ilżeckie zasługują ze wszech miar na uwagę i rozpowszechnienie.

Nie wątpimy, że ceramika ludowa zdobędzie serca naszych pań i, wypierając przeważnie nieestetyczną produkcję fabryczną, wniesie do naszych mieszkań urok prostoty i swojskości. R.

HODOWLA ZWIERZĄT FUTERKOWYCH, JAKO ZAWÓD KOBIECY

III.

LISY SREBRZyste

Chcę dzisiaj powiedzieć parę słów o hodowli lisów srebrnych. Hodowla ta ma jedną dużą wadę: wymaga pewnego kapitału zakładowego — ale zato rentuje się tak, jak chyba żadna inna. Raz założona, nie przyczynia zbyt wiele pracy.

Para zarodowych lisów srebrnych kosztuje od 800—1500 dolarów; prócz tego dość kosztowne jest założenie klatek. Boks dla jednej pary musi mieć około 100 m. kw.; powinien być wykonany z siatki drucianej, którą trzeba zakryć zarówno wierzch, jak i podłogę, aby się zabezpieczyć przed ewentualną ucieczką przez podkopanie, albo przez wierzch. Lis bowiem nie tylko umie kopać, ale doskonale wspina się po siatce. Koszt takiej klatki dochodzi do 800 zł.

Mimo tak wysokich kosztów zakładowych, far-

ma hodowli lisów srebrnych — to doskonały interes, gdyż lisy już w 10-tym miesiącu stają się zdatne do rozplodu. Jedna para daje od 2 do 6-ciu sztuk, nosząc 52—53 dni. Za skórki możemy dostać od 100 do 500 dolarów.

Koszty żywienia lisów są niewielkie. Karmić je można odpadkami z rzeźni, strzelanemi wronami, lub wreszcie królikami. Dodatek mleka dziennie za 50 gr. na sztukę wpływa znakomicie na jakość futerka.

Hodowla tych zwierzątek, oprócz korzyści materialnych, daje wielkie zadowolenie moralne, gdyż stworzenie tej nowej gałęzi produkcji miałoby wielkie znaczenie dla państwa. Sprowadzamy futer za 200 milionów rocznie, i mimo biedy w kraju, okna wystawowe przepelnione są wspaniałymi futrami.

Ogólna ilość lisów srebrnych nie przekracza, podobno, cyfry 350.000. Ludzi na świecie coraz więcej, a stopa życia wzrasta rok rocznie. Że nasze warunki klimatyczne hodowli tej sprzyjają, najlepszym dowodem kilka farm tego rodzaju w zadmionym okręgu przemysłowym Górnego Śląska, który, skutkiem mnóstwa kominów, zatruwających powietrze, jest najniezdrowszą częścią Polski, a mimo to lisy, tam hodowane, rozwijają się znakomicie i mogą już dziś dostarczyć pokaźnej ilości materiału zarodowego.

Lis czarny, zwany także srebrzystym — to bliiski kuzyn rudego lisa, zamieszkującego nasze lasy.

Wzrost jego, w stosunku do rudego, jest trochę mniejszy, a futerko jeszcze bardziej puszyste i bardziej lśniące.

Zasadnicza barwa lisa srebrnego jest czarna; miano „srebrnego“ otrzymał dzięki pewnemu procentowi włosa o następującem zabarwieniu: na dwa cale od skóry włos jest ciemno-niebieski, potem (na przestrzeni mniej więcej pół cala) granatowo-czarny, dalej następuje półcalowy kawałek śnieżno biały; koniuszek znów czarny. Najwięcej włosów, w ten sposób zabarwionych, znajduje się na tylnych łopatkach, plecach i około pyszczka. Na przednich łopatkach jest ich też trochę, ale w stosunku do tylnej części tułowia — niewiele. Ilość tych włosów waha się, zależnie od odmiany, od 10 do 75 proc. Kapryśna pani moda sprawia, iż raz są droższe futerka o większej ilości srebrnych włosów, a drugi raz skórki bardziej czarne osiągają wyższą cenę.

Kita lisa srebrnego jest długa, bardzo puszysta; przeważa w niej barwa czarna, tylko sam jej koniuszek, tak, jak i u naszego rudego, jest zawsze biały.

Skóra osiąga pełną dojrzałość u zwierząt najmniej rocznych w końcu listopada i początku grudnia.

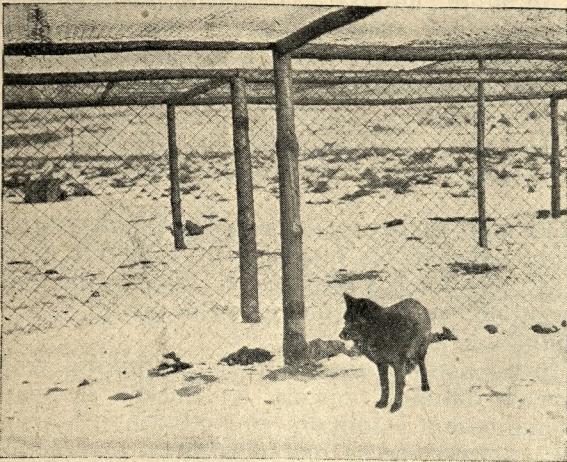
Lis czarny, mimo, iż jest to zwierzątko krajów o klimacie ostrzejszym, niż nasz — boi się zimna i wilgoci. Na swobodzie, jak wiemy, mieszka w norach. Hodowca musi więc dać mu schronienie w razie zimna i wilgoci, oraz miejsce do spokojnego wykotu.

Lis — to zwierzątko, które nie lubi żyć gromadnie; na farmie musimy dla każdej pary budować osobno klatkę i domek.

Domki zwykle budujemy z niezbyt grubych desek o podwójnych ściankach. Wolną przestrzeń między deskami wypełniamy torfem, trocinami, lub wreszcie igliwem. Daszek osadzamy na zawiasach, aby w każdej chwili, nie płosząc lisów, można było zobaczyć, co się w domku dzieje.

Rozmiary domku bywają różne; przeciętnie jest to budka, na 1 m. wysoka i długa, a szeroka na 75 cm.

Wnętrze dzielimy przepierzeniem z desek na



Lisy są bardzo płochliwe. W czasie licznych zdjęć fotograficznych zdotano tylko jednego dostać na płytę w stanie zupełnego spoczynku.

dwie części, z których tylna służy do wykotu i posiada tylko niewielkie wejście, wycięte w przepierzeniu; część przednia służy za nocleg i jako schronienie przed zimnem i wilgocią.

Okres rui u lisów hodowanych rozpoczyna się u nas zwykle między połową stycznia, a połową lutego. Ciąża trwa 52—53 dni. Liszka w każdym rzucie daje od 2 do 6-ciu sztuk młodych (rzuty 2—4 są najczęstsze). Rodzice zwykle troskliwie opiekują się młodem, które przebywają razem ze starami 3—5 miesięcy. Lisek 7-mio miesięczny jest właściwie już zupełnie dojrzały; nie należy go jednak jeszcze w tym wieku parować, gdyż może być obawa degeneracji; lepiej poczekać, aż skończy 9 miesięcy.

Wybierając pary do łączenia, należy zachowywać wszystkie zasady hodowlane. Nie wolno parować sztuk w bliskim pokrewieństwie, ani zbyt młodych. Rzecz jasna, że przeznaczając do rozplodu należy tylko zdrowe i silne osobniki, posiadające wszystkie cechy swej rasy. Przestrzegając tych zasad, możemy się spodziewać potomstwa zdrowego i unikniemy rozmaitych przykrych niespodzianek zwyrodnienia, jak zjadanie przez matkę młodych i t. p.

Po wykocie należy zostawić zwierzątka w spokoju. Do gniazda liszki zaglądamy tylko w wyjątkowych wypadkach, gdyż liszka bardzo boi się o swoje dzieci i często się zdarza, że, niepokojona, przenosi dzieci z miejsca na miejsce, co niejednokrotnie bywa powodem śmierci szczenięcia.

Lis jest bardzo mało wybredny i właściwie jada wszystko — zarówno mięso, jak jarzyny i owoce. Potrzebuje też stosunkowo dużej różnorodności w jedzeniu. Doświadczenia wykazały, iż lisy, żywiąc wyłącznie mięsem, dawały znacznie gorsze futerka.

Dorosły lis potrzebuje około 300 gr. mięsa, 50 gr. mleka, około 50 gr. czerstwego razowego chleba, wdrobionego w mleko, i do tego trochę jarzyn i owoców. Mogą to być gorsze gatunki, byle nie nadgniłe. Z owoców najchętniej jedzą śliwki, z jarzyn — marchew i cebulę. Karmienie odbywa się rano i wieczorem.

Pokarm, podawany lisom, musi być bezwzględnie świeży. Mięsa z padłych sztuk nie należy dawać pod żadnym pozorem. Nadkwaśniałe mleko może wywołać zaburzenia żołądkowe, czego następstwem by-

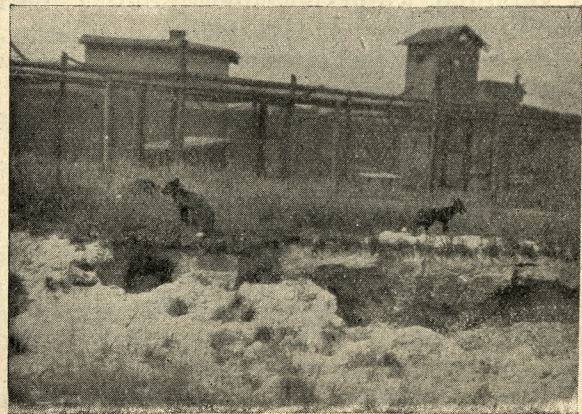
wa długa choroba. Owoce i jarzyny nie mogą być nadgniłe. Jednorazowa dawka pokarmowa musi być tak duża, aby zwierzątka zjadły natychmiast. W okresie karmienia młodych należy uważać, aby stare nie chowały dla dzieci pokarmów, które potem się psują i zanieczyszczają powietrze. W okresie karmienia dobrze jest dawać liszkom serca i wątroby, gdyż to dobrze wpływa na mleczność. Doskonałe rezultaty daje połączenie hodowli lisów z hodowlą królików, które idą na pokarm dla lisów. Daje to nowe możliwości zbytu mięsa króliczego. Jedna para lisów może skosztować rocznie około 60 sztuk królików. W zagrodach lisich nie powinno nigdy brakować czystej wody do picia. Jak w każdej hodowli, tak i tutaj pedantyczna czystość — to jedna z pierwszych i podstawowych warunków powodzenia; wszelkie nieczystości powinny być natychmiast usuwane.

Ojczyzną hodowli lisów jest Kanada: tam, w roku 1887, powstała pierwsza farma lisa. Od tego czasu tyle zrobiono, że dziś lis, hodowany w niewoli, jest płodniejszy od lisa, żyjącego na wolności.

Dziś, po 47 latach od chwili założenia pierwszego przedsiębiorstwa, jest tam 5705 farm, posiadających razem prawie połowę ogólnej ilości lisów srebrnych na świecie, bo 130.000, i przedstawiających 40 milionów dolarów wartości.

Tak szybki rozwój zawdzięcza Kanada w znacznym stopniu t. zw. spółkowemu systemowi, t. zn., że kilka czy kilkanaście osób składa się na kupno jednej, czy więcej par, które oddaje specjalnej farmie „na pensjonat”, płacąc za ich utrzymanie pewną określoną sumę miesięcznie. Właściciel pensjonatu lisiego zna czy lisy, aby nie mogła zajść pomyłka, czyją są własnością, asekuruje od zdechnięcia i kradzieży i dba o ich codzienne potrzeby. Sposób ten ma tę dobrą stronę, że można rozpocząć z bardzo małymi środkami. Lisy są tu traktowane, jak książeczka bankowa, do której składa się co miesiąc pewną kwotę, która się dobrze procentuje. Udział początkowo niewielki, za każdym wykotem wzrasta podwójnie. Udziałowiec nie potrzebuje narazie troszczyć się o codzienne potrzeby ułamka posiadanego lisa, gdyż czyni to właściciel „pensjonatu”. Sposób ten jednocześnie pozwala dojść po pewnym czasie do posiadania kilku par, z których można sobie założyć własną hodowlę. Mądry amerykańsin urządza to rzeczywiście praktycznie.

Czy nie dobrze byłoby przenieść na polski grunt tego rodzaju spółki i zorganizować pensjonaty dla hodowanych zwierzątek? *Marzenna Saryusz-Stokomska.*



Rodzina lisiąt miotu 1930 roku na farmie „Silesii”.

FRANCUZ O WINACH FRANCJI

Wszyscy pijemy wina francuskie, cenimy ich wysokie wartości smakowe i odżywcze, lecz większość nas pija bez należytego, że tak nazwę, ich zrozumienia. To też odczyt pana Henryka Labroue, deputowanego z Bordeaux (największego centrum winiarstwa i handlu winami), zainteresował szerokie koła warszawskiej publiczności. tembardziej, że pan Labroue, jako z zawodu profesor historii, specjalnie oddany studjom nad historją Polski, jest naszym wypróbowanym przyjacielem.

Tak, jak mówił pan Labroue o winach swojej ojczyzny, może mówić tylko człowiek niezmiernie kochający ten największy dar Boga dla ludzkości. Mówca z Bożej łaski, wygłosił przepiękny hymn na cześć winiarstwa i jego produktów. Z niesłabnącą ani na chwilę ciekawością słuchało audytorjum historii szczepu winnego od zarania dziejów, od Noego, który tak wino cenil, aż go nadużył, o czem mówi się nawet w Starym Testamencie.

W historii Grecji i Rzymu wciąż spotykamy wzmianki o winie — niezastąpionym towarzyszu uczt i najszlachetniejszej ofierze bogom.

Chrześcijanizm, obalający tyle dawnych obyczai pogańskich, wina nie tylko nie usuwa z użycia, lecz stosuje w największej Ofierze Mszy Świętej.

Papieże otaczają je swą opieką. Klemens V, jeden z papieży awinjońskich, ma winnicę, dającą najświetniejsze ze znanych win południowo-francuskich, do dzisiaj noszące nazwę „Pape Clément“.

Anegdotyczne jest pochodzenie nazwiska słynnego kaznodziei Bossuet'a, od jego herbu i dewizy. W herbie miał bardzo sękaty, stary szczep winny, a dewiza brzmiała: „Bosse y est“ (gra słów, niedająca się dokładnie przetłumaczyć na język polski).

Poznajemy w przelocie najważniejsze grupy winnic Francji. A należy zaznaczyć, że piąta część win, produkowanych na świecie całym, pochodzi z Francji. Z dziewięćdziesięciu jej departamentów — siedemdziesiąt częściowo lub całkowicie oddane jest kulturze tego szlachetnego szczepu.

Więc gęste, ciężkie wina produkuje Burgundja; lekkie, weselące ducha, u nas mało znane — Andegavenja (Anjou); szlachetne, najwięcej u nas znane — Żyronda (Bordeaux); najcenniejsze, najbardziej luksusowe i jedyne na świecie całym, naturalnie miusujące — Szampanja.

Winnice i wina szampańskie nie małą odegrały rolę w ostatniej wojnie światowej: poraz pierwszy w sierpniu roku 1914, kiedy żołdacy niemieccy, objadłszy się niedojrzałymi winogronami, zostali zdziśiatkowani przez dyzenterję, a poraz drugi, kiedy po zrabowaniu olbrzymich piwnic szampana, tak się popili, że stali się zupełnie niezdolni do walki.

I skromnemu żołnierzykowi francuskiemu ćwiartka dobrego wina, dodawana do każdego posiłku, znakomicie pomogła przetrwać ciężkie trudy i znoje strasznej wojny ostatniej. To też żołnierz francuski — od generała do szeregowca — kocha wprost swoje wino. I kiedy generał Franchet d'Espernay, idąc za przykładem któregoś z wodzów Ludwika XIV — przechodząc koło znanych winnic Clos Vougeot, salutował tym winnicom — cała armja powtórzyla to z entuzjazmem.

Współczesna medycyna, gnębiąca wszelkie ro-

dzaje alkoholu, wina uważa za niczem niezastąpiony środek leczniczy, środek, dający lub wracający siły. W departamentach Francji, gdzie ludność nie używa innych napoi alkoholowych, pijaństwo, w formie szkoldliwej dla zdrowia, zupełnie nie jest znane. Ludzie tam dosięgają późnej starości. Nigdzie nie spotykamy tyłu złotych, a nawet brylantowych godów małżeńskich.

Dla pań domu najbardziej ciekawe były części odczytu, poświęcone stosowaniu różnych gatunków win przy posiłkach i biesiadach, podawaniu tych win i naczyń, w których je pijać należy, a nawet sposobom ich smakowania.

Co do podawania różnych gatunków win przy rozmaitych daniach, zasady te zdawna są znane naszym smakoszem i dobrym gospodynią. Można więc tylko zaznaczyć, że są one zgodne ze sposobami, stosowanymi we Francji.

Więc po zupie — wina mocne; po rybie — wina suche, białe — wina reńskie, lewego brzegu Renu, weselące i dające lekkość umysłu, w przeciwstawieniu do win ciężkich i upajających na ponuro lub na wojowniczo niemieckich win prawego brzegu Renu. Do ostryg — lekkie wina Bordeaux, które zresztą i przy rybach zastępują reńskie z powodzeniem.

Jedyne w swoim rodzaju są wina andegawieńskie, „vins d'Anjou“, u nas mało znane, przez amatorów francuskich wysoko cenione, suche, nie miusujące, lecz jakby leciuchno kłujące podniebienie.

Przy pieczystem zapanowuje wszechwładnie Burgund, wino poważne, które należy pić ze znajomością rzeczy i z namaszczeniem. Czerwone gatunki starego, odstałego Burgunda mają na dnie butelek osad, którego nie należy mącić. Aby uniknąć takiego zmacenia, podaje się butelki nawpół pochylone, w specjalnych koszyczkach, i nalewa z wielką ostrożnością.

Winami uniwersalnymi są wysokie gatunki win bordoskich, z najbardziej znanym Sauternes na czele. Mówca wyliczył wprawdzie niektóre ich gatunki, lecz nie w celach reklamy i nawet nie propagandy handlowej, lecz wprost, aby do poematu wprowadzić imiona tych, na których cześć został ułożony.

Oczywiście, królem win jest szampan, który się podaje mniej lub więcej zamrożony. Jednak zamrożenie zbyt mocne, do igielek, psuje już naturalny aromat wina i robi je upajającym.

Białe wina należy podawać ochłodzone, lecz z umiarem. Czerwone, ogrzane do temperatury ciepłego pokoju, nie więcej. Wszelkie zbyt mocne chłodzenie lub ogrzewanie wina niekorzystnie się odbija na jego aromacie.

A w czem szlachetne wina pić należy? Dawniej przed każdym biesiadnikiem stawiano całą baterję kieliszków; dzisiaj wystarczy parę, lecz ściśle dostosowanych kształtem i rozmiarem do gatunków win, jakie mają być podane. Kieliszek powinien być ze szkła tak przezroczystego, aby przezeń mógł przeświecać kolor wina i była widoczna obrączka, jaka się formuje w miejscu zetknięcia wina z powietrzem — obrączka, dowodząca, że wino jest wystałe. Kieliszek powinien być na wysokiej, cienkiej nóżce — prelegant dodaje: „jak rasowa nóżka pięknej kobiety“. Wszelkie szklaneczki nie są godne zawierać dobrego wina, ich przeznaczeniem jest piwo i inne mniej szlachetne trunki. Im lepsze wino, tem piękniejszy wienien być kryształ, w którym je podajemy.

A jak należy pić wino, jak je smakować?

Wino trzeba nalewać wolno i tuż nad kieliszkiem. Kieliszek powinien być napełniony tylko nieco wyżej, niż do połowy, aby aromat wina w nim pozostał. Biorąc kieliszek w rękę, nadajemy mu lekki ruch rotacyjny: powstaje przez to na szkle obrączka, wzbudzająca w nas od razu zaufanie do trunku. Jednocześnie wydziela się z wina aromat, który wdychamy w chwili, gdy kieliszek podnosimy do ust — aromat, który tak podnosi smak każdej spożywanej rzeczy, że stanowi jakby połowę jej smaku. Nakoniec pijemy wino drobnymi łykami, zatrzymując je chwilę w ustach dla rozkoszy podniebienia. Łapczywie, dumami haustami lub, co gorzej, duszkiem — piją tylko pijacy, nie znający się na rzeczy i niegodni pić boskiego trunku, jakim jest wino. *Elżbieta Kieronarska.*

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KOTLETY Z GROCHU I RYZU.

Ćwierć kilo grochu namoczyć na noc w zimnej wodzie, poczem ugotować (nie soląc przy gotowaniu); odlać wodę, przykryć rondel pokrywą, trzymać kwadrans na brzegu blachy, aby groch nieco obsechl. Utluc wałkiem i przetrzeć przez sito. Piętnaście deka ryżu ugotować na sypko, utluc wałkiem na misce, dodać przetarty groch, sporą cebulę, drobno pokrajaną i przesmażoną w łyżce masła, trzy jaja całe, osolić do smaku, wsypać łyżeczkę majeranku, lub garstkę drobno usiekanego, zielonego koperku. Wyrobić całą masę doskonale. Formować małe, płaskie kotleciki. Utarzać w mące, następnie w rozbitym jajku, nakoniec w bułeczce i smażyć na smalcu lub maśle. Podawać do nich sałatę zieloną ze śmietaną lub z oliwą, albo też sałatę z czerwonej kapusty. Można też podać do takich kotletów sos biały, koperkowy ze śmietaną, lub czysty sos pomidorowy.

JARSKA POTRAWA Z KAPUSTY I KARTOFLI.

Pół kilo kapusty białej ugotować w całości lub w cząstkach, przestudzić i przepuścić przez maszynkę wraz z pół kilo ugotowanych, obranych z łupin i ostudzonych kartofli. Dwie cebule utrzeć na tarce i przesmażyć ze sporą łyżką masła. Utrzeć także na tarce dwa duże jabłka — antonówki lub renty. Zmieszać to wszystko razem, wbić dwa żółtka, osolić, dodać majeranku, koperku lub kwiatu muszkatołowego — jaki zapach kto woli — wymieszać raz jeszcze. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z masą. Foremkę ogniotrwałą wysmarować grubo masłem, włożyć masę i upiec do mocnego zrumienienia. Podawać z sosem rumianym kaparowym lub korniszonowym, lub też z czystym sosem pomidorowym.

BARANINA Z KAPUSTĄ WŁOSKĄ.

Miękki kawałek baraniny (wagi kilo, lub nieco więcej) rozrąbać na pięć, sześć równych kawałków, zrumienić na maśle. Nelsonkę lub ładny rondel, który można podać do stołu, wy-

łożyć plasterkami świeżej lub wędzonej słoniny. Na to ułożyć jedną dużą lub dwie mniejsze główki włoskiej kapusty (wagi około półtora kilo), podzielone na części; na kapustę położyć baraninę, przykryć resztą kapusty. Wrzucić parę ziarn pieprzu i listek. Zalać lekkim rosołem lub, w braku rosółu, wodą z dodaniem kostki buljonowej, czy kawałtka suchego buljonu. Przykryć szczelnie naczynie i dusić wolniutko, aż baranina i kapusta zmiękną. Na dogotowaniu można dodać parę łyżek konserwy pomidorowej, nie jest to jednak konieczne. Podawać w tem samem naczyniu, bardzo gorące.

PIECZEŃ Z DZIKA.

Mięso z dzika jest o wiele mniej smaczne od wieprzowego i wymaga dłuższego marynowania w occie z korzeniami. Dwa do trzech kilo mięsa z dzika — z zadniej szynki, combra lub łopatki — po zdjęciu grubej skóry zamarynować w litrze lekkiego octu (jeśli mocny, to po połowie z wodą), zagotowanego z pieprzem, listkiem, zielem i cebulą. Po trzech dniach leżenia w marynacie (przy czem należy pieczeń codzień przewracać), wyjąć ją z octu, naszpikować wędzoną słoninką, zrumienić ze wszystkich stron na maśle i piec, podlewając marynatą. Gdy pieczeń miękka, wrzucić do sosu dużą garść tartego chleba, drobno pokrajaną skórkę z cytryny, łyżkę cukru i filiżankę śliwkowych powidel. Pieczeń wyjąć i pokrajać. Sos jeszcze parę razy zagotować, przetrzeć przez sito. Częścią polać pieczeń, resztę podać w sosjerce. Jako garnitur, podać włoski makaron lub kładzione.

BUDYŃ Z SAGO.

Dziesięć deka prawdziwego sago (nie imitacji z mąki kartoflanej) ugotować na mleku lub wodzie. Płyn brać około litra i gotować wolno. Gdy już sago nawpół przezroczyste, odsunąć na brzeg blachy i przykryć rondel pokrywą. Powinno tak rozbrzęknąć, aby wszystkie płyn wchłonęło. Trzy żółtka z dużych jaj utrzeć na miseczce z filiżanką cukru, dodać sago, zaromatyzować: jeśli gotowane na mleku — wanilią, jeśli na wodzie — skórką cytrynową. Pozostałe białka ubić na pianę, zmieszać z resztą masy, przełożyć do formy budyniowej, posmarowanej masłem. Gotować na parze godzinę, od chwili zagotowania się wody. Podawać ubrany konfiturami; do niego syrop owocowy lub szodo. *Pani Elżbieta.*

KORESPONDENCJE

P. J. Stetkiewicz prosimy o podanie adresu, gdyż nie mając go, nie możemy odpowiedzieć na list.

P. Zofji M. z Miechowa. — O kursie higienistek udzieli szczegółowych informacji sekretariat. Adres: Kraków — Kopernika 25. Uniwersytecka szkoła pielęgniarek i higienistek. — W sprawie policji kobiecej proszę napisać: Warszawa — Senatorska 12 — p. komendantka Paleolog.

Stalej Prenumeratorce. — Adres Szkoły: Chocimska 24 w Warszawie.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Dlatego.

Ci, którzy z niepokojem w przyszłość Polski patrzą, wołają dziś o skupienie wszystkich sił narodu, który murem stanąć powinien przy silnym rządzie, dając odpór zakusom wrogów, sięgających po nasz stan posiadania.

Ogniskiem, koncentrującem te promienie siły, pracy i entuzjazmu, stało się imię Człowieka, który poprowadził Polskę do wolności.

Kim jest On? I jaki jest, a jaki powinien być do Niego stosunek narodu?

Trzeba dziś o to zapytać, trzeba to zbadać i mówić o tem raz jeszcze, raz tysiączny, trzeba rozważyć w tej dziejowej chwili.

Trudne to bardzo zadanie.

Dziś, dobitniej od pochwał i uwielbień, przemówić mogą fakty i porównania, z tej właśnie historii zaczerpnięte. Wykreślić nam sylwetki ludzi, którzy przez długi czas niewoli targali łańcuchy nie tylko najeżdźcy, ale nierozumu, fałszywych sądów, złe skierowanego zapału, lub obojętności i niemocy własnego społeczeństwa; dowieść, czego im zabrakło do zwycięstwa, dlaczego wysiłki ich nie przyniosły owocu.

Było ich wielu; nie wszyscy równiej miary, wszyscy równo pragnęli Polski.

I każdemu z nich w jakiejś stanowczej chwili zabrakło podpory nieprzewycięzonej: całego narodu.

Kościuszkę pociągnął za sobą część chłopów, mieszczań, drobnej i średniej szlachty; przeciw sobie miał różnych małych i „wielkich”; z gatunku tych, o których mówi Korzon, że żył w Polsce milion „organizmów dwurękich”, ale nie ludzi, i których ekspozyturą stała się Targowica.

Za Dąbrowskim poszła młodzież, rzucając, tak samo, jak w sto lat później jej potomkowie, życie i szczęście „na stos”; przeciw niemu huraganowy ogień oszczerstw: jurgielnik, kondotjer, sprzedawczyk, czego tam nie było!

Książę Józef, obarczony tradycją stryjów, uwikłany w matactwa trzech orientacyj możliwych, wybrał czwartą i śmiercią kupił sobie nazwę strażnika polskiego honoru.

Śmiercią dużo się kupuje w Polsce.

Potem przyszły już działania zbiorowe spisków; i znów za podchorążymi idą żołnierze, przeciwstawiają się dowódcy i Rada Administracyjna Królestwa Polskiego, która nazywa noc listopadową „smutnem zdarzeniem”. A gdy znalazł się człowiek, który genialną intuicją polityka odczuł drogę i chciał naród po niej poprowadzić, wtedy ironja dziejów zagroziła mu zwycięski szlak: zgodą.

Wyraźnie: społeczeństwo, które tyle razy rozbiła się na orientacje i obozy, które w najtragiczniejszych chwilach przeciw królom i władzy tworzyło konfederacje, kontrkonfederacje i rokosze, ulękło się w tym momencie majaka: widma klubów francuskiej

rewolucji, i odepchnęło Mochnackiego, oddając władzę słomianemu dyktatorowi, w imię świętej zgody.

A w trzydziści parę lat później Romuald Traugutt, patrząc z okna swego mieszkania na stracenie Rzońcy, wskazał stojącemu obok Dubieckiemu szubienicę, ze słowami: tak i my skończymy.

Bolesny dyktator czuł, że tych, którzy budzą naród bezowocnie, musi czekać taki koniec, nie tyle dlatego, że przemoc jest za wielka, lecz że naród za słaby. Bo, jak w swej historii wojen polsko-ruskich powiedział Puzyrewskij: w Polsce zawsze młodzież i sfery radykalne rzucały się do walki, a starsi i konserwatyści hamowali zapał, bezskutecznie, aż wciągnięci, szli wreszcie do niej — za późno.

Tyle nam mówi historia, której my sami, współcześni, nie byliśmy świadkami.

A ta nowa?

Nie zapomnę nigdy przyjęcia, wydanego w listopadzie, czy grudniu 1916 r. w Warszawie przez ówczesne Stronnictwo Niezawisłości Narodowej (S. N. N.) na cześć Komendanta Piłsudskiego.

Przemowy liczne, i długie, i gorące: odnowiciel wielkich tradycji, bohater, Pierwszy Żołnierz Polski, za to Mu cześć i sława.

Cichy sprzeciw wewnętrzny: nie za to, nie tylko za to, nie głównie za to, tacy już byli. Za co innego.

Komendant zaczął mówić z podziękowaniem. Krótko bardzo, spokojnie i prosto: nie o poświęcenie chodziło, nie o męstwo, to było łatwe; ciężkie były tylko chwile, gdy szedł ze swymi chłopcami przez kraj „obcy”; przez nieufną Polskę, której tylko część złotego rogu usłyszała. Ale to nic, żołnierz łatwo zapomina, gdy mu serce otworzą, a dziś to się już stało. I od tej chwili Żołnierz zapomniał, Wódz wziął naród w ręce.

Tu była chwila Jego triumfu. Nie zabrakło, naturalnie, komentarzy: szczęśliwe konjunktury polityczne, zbieg okoliczności, wojsko. Ktoś inny teżby tego dokazał.

A dlaczego On właśnie te konjunktury wyzyskać umiał? a dlaczego to wojsko nie za kim innym poszło, tylko za Nim?

Bo wszyscy odczuli, że jest w Nim nie tylko bohaterstwo, ale zdolność rządzenia i dar zwycięstwa.

Dlatego złożyła nań władzę Rada Regencyjna, dlatego, mimo intryg i siejących panikę przeciwników, utrzymał się w 20 r. Naczelnik Państwa i Wódz Naczelnny, dlatego stał się rok 26 i dlatego samego dziś, tak wielu z tych, którzy Go krytykują i zwalczają, cofa się w chwili stanowczej i z podziwu godną logiką, zasłania twierdzeniem, że, jednak rządzić On musi. Najgenialniejszy człowiek upadnie bez podpory narodu, ale moc władzy geniuszu polega właśnie na tem, aby tę podporę stworzyć i utrzymać.

Tę moc posiada Marszałek Piłsudski, tę moc naród czuł w ciągu lat swego odrodzenia.

I tę moc naród uprzytomnić sobie powinien dziesięciokrotnie dziś, w chwili, gdy przyjść może do nowej obrony granic. Szowinistki niemieckie głosami

swemi dały władzę Hitlerowi, patrijotki polskie winny odpowiedzieć im milionami głosów za rządem Marszałka Polski.

Józefa Cieńska — Warszawa

Istota przyjaźni (w odpowiedzi p. Spoczyńskiej).

Pojęcie przyjaźni bywa zbyt często mieszane z pojęciem miłości; niekiedy całkowicie utożsamiane (łacińskie: amicitia i amare, kochać); mówi się także: przyjaźń jest uduchowioną miłością. Rzecz się tak ma, że istnieje uduchowiony popęd zmysłowy i on to jest miłością.

Natomiast z miłości do przyjaźni niema żadnego zgoła przejścia. Obie są całkowicie różne. Zupełnie indywidualne. A zatem, nie dające się ze sobą wymieniać, ani pokrywać wzajemnie.

To pomieszanie pojęć, jakiego jesteśmy świadkami na każdym kroku, bierze swe źródło w tem, że miłość i jej surogaty niewątpliwie częstsze są w życiu ludzkim, niż przyjaźń istotna. I one to roszczą sobie pretensje, by traktować je, jako objawy przyjaźni. Ta ostatnia bowiem ten ma jeszcze urok, że jest całkowicie czysta i wolna. I tem właśnie wywiera wpływ pociągający na miłość, która cała jest tylko niewolnictwem, albo, co gorsza, zmysłowością. Stąd miłość tęskni do przyjaźni. Stan jeszcze zwierzęcy pragnie dojść do stanu tylko duchowego.

Przyjaźń, ten najwyższy ze stosunków, w jakie mogą wejść dwa istnienia, polega na usiłowaniu, by mieć wspólną ideę, iść w jej imieniu i pod jej znakiem.

Kiedy i gdzie możliwa jest przyjaźń?

Przyjaźń możliwa jest między równymi (niekoniecznie jednakowymi) osobnikami. Lecz muszą to być jednostki w platońskim tego słowa znaczeniu. Jednostki, które zarazem są samotne i samoistne, a przez to zdolne uznać samotność i samoistność drugich. Jednostki, posiadające bezwzględnie treść duchową. I jeżeli tacy ludzie zechcą świadomie połączyć się w imię myśli, idei, to to jest przyjaźń.

Wszystko inne jest surogatem, popędem, miłością, a nie przyjaźnią.

Przyjaźń nie jest uczuciem. Jest aktem woli i myśli.

Przyjaźń jest rzeczą trudną. Dlatego i niezmiernie rzadką. Lwia część ludzkości jest do niej absolutnie niezdolna.

U ludzi, kulturalnie nisko stojących, przyjaźń nie istnieje. Nie istnieje nawet jej przeczcucie. Niema przyjaźni np. u dzikich.

Natomiast była ona częstym zjawiskiem pośród greków i w ich literaturze motyw przyjaźni powtarza się wielokrotnie. Bohaterowie greccy są przyjaciółmi ludzkości, jako idei.

Przyjaźnią się artyści, uczeni, apostołowie, elita polityków i podobni.

Przyjaźnią się, jakże straszliwie i rozrzewniająco, żołnierze; i wreszcie ludzie, „stojący nad grobem“, chorzy.

Te dwa ostatnie wypadki wymagają szerszego omówienia. A raczej krótko trzeba powiedzieć: przyjaźń, jako forma spotęgowania jaźni, występuje wyraźniej przed śmiercią.

Tu zwrócić muszę uwagę na to, w jaki genialny sposób ujmuje istotę sprawy język polski: mówi mianowicie: przy-jaźń. To znaczy: bycie obok drugiej duszy; jaźń obok drugiej jaźni. Niepodzielne, zachowując granice (a zatem wolność) bytu, stoją obok siebie świadome jaźnie.

Cel tego bytowania określa idea, w imię której jaźnie chciały być obok siebie.

Niewątpliwie, w chwili śmierci, wyzwalającej jaźń, występuje na jaw „zdarzenie“ przyjaźni.

Umierający też muszą *wiedzieć o jednej wspólnej idei*, albo przynajmniej mieć jej głuche przecucie.

Tem też tłumaczy się wielka przyjaźń żołnierzy.

Jakkolwiek nie jest ona jeszcze doskonałą przyjaźnią ludzi mądrych, jest jednak doskonałą tęsknotą za przyjaźnią. Niespokojnym, przedśmiertnym, a tem samem głęboko poważnym stanem, wzmożonego wzajem na siebie oddziaływania.

Ktoś rzekł, że największą świadomość ma się, umierając. I umierając ma się też wielu przyjaciół i zapewne samemu jest się doskonałym, przepelnionym dobrocią przyjacielem.

Nie zdziwi chyba nikogo, jeśli powiem dalej, iż przyjaźń między odmiennymi płciami, konkretnie rzecz biorąc, nie istnieje. Ale mogłaby istnieć, jako możliwość.

W tym wypadku, gdyby zarówno kobieta, jak i mężczyzna przestali chcieć miłości.

Zresztą dla samej przyjaźni jest to obojętne, między kim ona się zdarza. I nie wydaje mi się to konieczne, aby „propagować“ przyjaźń między płciami. Kobieta w dopełnieniu z mężczyzną, jako para ludzka, służy całkiem innym celom. Ale powinnaby się znaleźć para kochanków, przyjaciół. Jeśli nie w życiu, to w sztuce.

Co się tyczy przyjaźni między mężczyznami, to ta, oczywiście, istnieje. Dobrze byłoby, gdyby mężczyzna sam coś o tem napisał.

Nie było tylko, szczerze mówiąc, przyjaciółek. Kobiety nie potrzebują przyjaźni. Ale powinny jej potrzebować w obrębie swojej płci. Trzebaby uzasadnić tę potrzebę.

Na zakończenie pozwolę sobie rozpatrzeć wypadek konkretny. Biorę go z życia własnego. Mam przyjaciółkę, ubogą krawcową. Stoi ona poza moim istotnym życiem. Nie obcuje z nią intelektualnie. Obcuje zaś moralnie w wysokim stopniu. Ona imponuje mi: poświęca się całkowicie dla starych rodziców i dla brata. Myślałam nad naszą przyjaźnią wiele i wiem, że mnie zachwyca jej rezygnacja z własnego szczęścia, jej cichość i pokora.

Ona kocha mnie ślepo i niewiedomo, dlaczego. Ale zdaje się, że jest to u niej wyładowanie instynktu macierzyńskiego (ma lat 26, jest panną).

Ją jedną wybrałam z pośród wielu, ale zdaje mi się, że podyktował mi to mój egoizm: nadużywam jej miłości, tak, że nieraz muszę tego żałować. Poza tem, śledzę jej życie, patrzę na biedę. Słucham o kłopotach, lituję się i wstydzę za jej czerwone od szycia oczy i okrągłe, jak bochenek, plecy, ale... to i wszystko. Nie jestem prawdziwą przyjaciółką.

Ze smutkiem myślę, że jest to szereg epizodów. Błyśnięć sympatji, doznań, jakie jedna istota ma obok drugiej.

I lękam się przyznać, że mogłoby się tak wydarzyć, iż zapomniałabym przyjaciółki dla miłości.

G. D. K. — Wąchock

Przeciw pomieszaniu pojęć (w odpowiedzi p. H. Spoczyńskiej).

Onośnie do artykułu „Przyjaciół, Przyjaciółka“ (w Nr. 42), nie mogę się powstrzymać od zwrócenia Autorce uwagi, że miłość jest to potrzeba bezwarunkowego oddania się (idei, erzłowiekowi), zaś pożądanie nazywa się właściwie erotyzmem.

I gdy istotną cechą miłości jest potrzeba bezwarunkowego oddania się, to treścią pożądania jest chęć

posiadania na własność, przykrość z rozłąki, niecierpliwość w oczekiwaniu.

Miłość należy do zaprzeczenia woli w sobie (Verneinung des Willens), a zatem należy do ascezy, pożądanie zaś jest wprowadzeniem woli w życie (die Bejahung des Willens), a zatem należy do zwierzęcych funkcji człowieka.

Dlatego też używanie tak nierównych, biegunowo przeciwnych sobie pojęć (premis) do budowania wniosków czy sądów, czyni je już w założeniu fałszywymi.

Przyjaźń może istnieć zawsze tylko między słabszym a silniejszym, w pewnej chwili lub odnośnie do pewnej sytuacji. To jest tak notoryczne, że uzasadnienie pomijam. Dwie potężne indywidualności nigdy przyjaźnić się ze sobą nie będą. Jeżeli weźmiemy pod uwagę kobiecość i pierwiastek męski, to pierwiastek żeński okazuje się całkiem stanowczo, pod każdym względem, w świecie przyczyny i skutku, czasu i przestrzeni, podmiotu i przedmiotu, jako silniejszy. A zatem przyjaźń istnieje może między silniejszym i słabszym mężczyzną, i między kobietą a mężczyzną, o tyle, o ile w niej przeważa pierwiastek żeński, a w nim męski, gdyż stuprocentowych kobiet, ani mężczyzn dotychczas nie poznałem. Godzę się z tem, że przyjaźń jest pewną formą miłości, jeszcze nie kompletnej; natomiast uważam, że pożądanie (erotyzm) nie ma zupełnie nic wspólnego zarówno z miłością, jak z przyjaźnią, ba! nawet z szacunkiem, z powodów, jak wyżej.

Emil Reinold — Nadworna

Na temat szkoły pożycia małżeńskiego (w odpowiedzi p. W. B.).

„Zabrały mi amerykanki pomysł“, pisze p. W. B. ze Lwowa. Widocznie jednak idea ta nurtuje i w nas, bo nie tylko p. W. B. myślała o tem. Od dłuższego już czasu pomysł utworzenia takich kursów nie dawał mi spokoju; chciałam już parokrotnie napisać o tem do „Bluszczu“, ale uważałam, że myśl moja nie jest jeszcze całkowicie skonkretyzowana i zwlekałam. Pani W. B. mnie ubiegła.

Powtarzam zatem za nią: „trudno!“. Cieszę się jednakże, że jest to myśl w niejednej zapewne tkwiąca głowie, acz dotąd nieujawniona. A zatem „sprawa życiowa“. Skoro zjawia się jakaś nowa idea, jest to oznaką, że życie wysuwa potrzebę jej urzeczywistnienia.

Ale zrozumienie tej potrzeby musi przeniknąć w szersze masy, by mogła nadejść realizacja.

Stworzenie szkoły pożycia małżeńskiego jest w naszych warunkach pomysłem bardzo śmiałym i zupełnie nowym i, jako takie, będzie bezsprzecznie trudne narazie do zrealizowania.

Jak każda zresztą myśl nowa i niepowszednia. Ale, że wycucie potrzeby takiej szkoły tkwi w nas i samo życie stawia te wymogi, kwestja realizacji tego pomysłu amerykańsko-polskiego, śmiem przypuszczać, jest kwestją niedalekiej przyszłości, o ile nie nawet kwestją jutra.

J. K. — Grodno

Smutna rewja — wesoły skandal.

Sala kina przepelniona. Publiczność mieszana, przeważa (i to znacznie) młodzież w wieku lat 16—20 (widzę nawet dwie dziewczynki dziesięcioletnie) ze sfer rzemieślniczych, robotniczych i t. p. Bo to święto, a miasto prowincjonalne.

Na ekranie rozgrywa się dramat na tle wojny, film polski, bardzo ładny, starannie opracowany.

Ekran znika, kurtyna się podnosi: rewja. Jest sześć tancerek, prawie nagich (nawiasem mówiąc, nagość brzydka). To jeden numer.

Zapowiadają sketch. Gość w szafie. Publiczka coś o tem wie, bo rozlega się szmer podnieconych głosów i dziecinnych prawie głosików.

Kurtyna znika. Półmrok, na scenie szafa, obok tapczan. I rozpoczyna się skandaliczna scena, której treścią jest, że żona, zaskoczona niespodzianym powrotem męża, ukrywa kochanka w szafie, w której przebywa on do rana, aż gdy godzina ósma wzywa wszystkich na śniadanie, kochanek z szafy wypada i prosi o mleko mrożone. Sketch dobrnął końca.

I znów nagie tancerki.

Z uczuciem ulgi wychodzę z kina, wraz ze mną cała publiczność „ubawiona“, chichoty, dzielenie się wrażeniami.

Ja mam łzy w oczach... nie od śmiechu.

Czy to jest zabawa?? Na miłość Boską! toż chyba dowcip, śmiech i radość szczerą nie mają już miejsca na świecie?! Śmiech zamienił się w chichot, radość w podniecenie zmysłowe, a dowcip?... siedzi w szafie chyba i to pod kluczem.

Ale ta młodzież!...

I samo przez się nasuwa się pytanie: jeżeli istnieje jakaś cenzura filmów, dlaczego cenzurze nie podlegają te „nadprogramy“, te rewje?

Czemu film jest bardziej „prześladowany“? Przecież tu chodzi o coś więcej, niż o obawę zwiększenia bezrobocia liczbą takich pseudo-artystów, z djabłej chyba łaski!

Częstochowianka

Czytelnictwo aktualne (w odpowiedzi Częstochowiance).

Pani Częstochowianka dała nam realne wskazówki, co czytać należy, radząc mieć zawsze, obok innych i książkę naukową. Otóż, jeśli kobiety nawet czytają powieści, to już zdecydowanie stronią od książek naukowych i dlatego to polecenie lektury naukowej jest chwalebne i niezmiernie pożyteczne. Chciałabym doń dodać jeszcze jedną uwagę: starajmy się zawsze poznać, z zakresu wiedzy popularnej przynajmniej, to, co w danej chwili zajmuje umysły, co jest ważne, aktualne, potrzebne. Jeżeli mamy jakiś wielki wynalazek, odkrycie, coś ważnego stało się blisko, czy daleko, weźmy książkę, traktującą bądź o tym kraju, bądź o istocie samej sprawy, abyśmy nie ośmieszały się ignorancją przedmiotu, o którym wszyscy mówią, więcej, który znać jest nieraz obowiązkami.

Myśl tę skonkretyzowała mi zbliżająca się rocznica, stulecie rewolucji listopadowej. Czy wszystkie czytaliśmy to, co o istocie tego faktu historycznego wiedzieć należy? Czy znamy Powstanie Listopadowe Śliwińskiego, Łukasińskiego, Askenazego, biografje Mochnackiego, Skrzyneckiego, Lelewela, Czartoryskiego, pamiętniki Dembowskiego, historje powstania Mochnackiego, ostatnią pracę Tokarza? Wierście mi panie, wiele z tych książek czyta się, jak najbardziej emocjonującą powieść, więcej, jak żywą, choć bez scenariusza, tragedję. Nie wiem, ale zdaje mi się, że poza osobami, poświęcającymi się studjum historycznym zawodowo, niewiele z nas czytało te książki. A warto, zupełnie warto i należy.

Polecam więc paniom, jeśli wysłuchać chcecie mego skromnego zdania, tę lekturę. Byłabym szczęśliwa, gdyby która z Was zechciała podzielić się ze mną swymi z niej wrażeniami.

K. L. — Poznań